ROK I. Nr 18. 26 maja 1929 r.

7 DNI

CENA 50 GR

Rejentalnie stwierdzony nakład: 30.000 egzemplarzy.

TYGODNIOWE PISMO ILUSTROWANE



KOGO UWIELBIA KOBIETA?

Na to wiecznie aktualne pytanie odpowiada w tym numerze „7 Dni" znakomity pisarz polski, p. Kornel Makuszyński. Na fotografji naszej piekna Madge Bellamy uwielbia czynnie niemniej urodziwego Barry Nortona (z najnowszego filmu wytw. „Fox" p. t. „Prawo Młodości")

ZDZISŁAW KLESZCZYŃSKI

Zielone Święta

— Avant le magistrat!

Pogoda, można powiedzieć, zakałapućkana — ale wszyscy gdzieś jadą. Abelscy na P. W. K. Bebelscy do Kazimierza nad Wisłą. Cecelscy do Łowicza. Dedelscy do Czerska: oglądać ruiny.

Pogoda, można powiedzieć, zakatarzona. Ale wszyscy gdzieś jadą. Bodaj do Konstancina. Bodaj do Otwocka. Bodaj do Strugi. Bodaj na Bielany.

— Z powodu Zielone Święta!

*

Fipscy, wyjątkowo, nigdzie nie jadą. Złożyło się na to kilka przyczyn. Po pierwsze, panna Edwarda miała wykończyć Fipskiej nowy, rewelacyjny kapelusz — i nie wykończyła. Poprostu, zahulała się w Luna Parku i zrobiła pani Fipskiej zawód. Po drugie, Fipska była na herbatce u prezesowej Kulfonowiczowej i podchwyciła wątek rozmowy, prowadzonej przez dwie, ogromnie jej imponujące, panie.

— Kochana pani wyjeżdża na święta? — pytała pierwsza pani.

— Nie, droga pani. Niecierpię tej świątecznej publiczności! — skrzywiła się druga pani.

Ten wyjątek rozmowy zanotowała sobie pani Fipska w pamięci. Pomyślała, że właściwie, i ona nie powinna się pospolitować. Skoro tamte panie.

— Wiesz, mój drogi — powiedziała pani Fipska do pana Fipskiego — Lepiej będzie, jeżeli zostaniemy w domu.

Fipski westchnął, zrezygnowany.

— Jak uważasz, kochanie.

*

Co innego jednak zostać w Warszawie, a co innego — nudzić się w domu.

Fipska postanowła pójść z mężem na dancing.

— Nie miałbyś ochoty wybrać się do Alfresco?

— Jeżeli sobie życzysz...

— Owszem. Tylko zamów dobry stolik.

— Dobrze.

— Zadzwonię do pana Stefana. Nie masz nic przeciwko temu?

— Dzwoń, skarbie do kogo chcesz.

— Mówisz to, zdaje się, z przekąsem?

— Nic podobnego! Będzie mi bardzo miło, jeżeli się rozerwiesz.

— Naprawdę?

— Naprawdę!

*

Ostatecznie, o godzinie 12-ej w nocy, Fipscy zjawili się w Alfresco. Oboje bardzo wytworni. Fipska w pięknej toalecie wiosennej i kapeluszu z stylizowanemi truskawkami; Fipski, na wyraźne żądanie żony, w smokingu.

Podszedł do pani Fipskiej zabójczo elegancki fachdanser, jak się teraz mówi w Warszawie, ale mu Fipska podziękowała surowem zmarszczeniem brwi: miała przecież na ten wieczór pana Stefana. Jazz zagrał charlestona, puścili się w pląsy. Fipska skonstatowała, że jej dekolt robi na sali furorę. Wpadła w dobry humor. Zresztą, była także zadowolona z obu mężczyzn.

Hilary wyglądał w smokingu, ze swoim brzuszkiem i ze swoją łysinką, zupełnie reprezentacyjnie. A pan Stefan znów, z tym swoim nerwowym tikiem w kąciku warg, interesująco i odrobinę perwersyjnie.

— Lubię ten nastrój, trochę szalony — powiedziała do swego dansera, wachlując zmysłowo nozdrzami i łonem.

Mąż jej zrobił w tym momencie szybki rachunek: 2 plasterki łososia, świeży ogórek, sałatka z jarzyn, pęczek rzodkiewek, wódka — 30 złotych.

Pan Stefan w danej chwili nic nie odpowiedział, tylko wprawił swe sugestywnie wykrojone usta w tik jeszcze szybszy. Bęben zawerblował. Zgaszono w dancingu światła. We drzwiach wiodących do garderoby, ukazała się młodziutka 50-letnia nagość w przepasce na biodrach, w sztrasach na piersiach, prześlicznie wygolona pod pachami.

— Marion Strogonoff — rzucił niedbale pan Stefan, świadomy tajemnic kulis.

Pani Fipska dała mu lekkiego klapsa pod stołem.

— Wszystkie musi znać!

Pan Stefan uśmiechnął się dyskretnie...

*

Fipska obstalowała sobie kurczaka, pan Stefan — szparagi. Zlekka zaniepokojony mąż (rachunek sumienia, robiony pocichu, zahaczał już o trzecią 30-złotówkę) kazał sobie podać steak cielęcy (4 złote: można wytrzymać). Ale oszczędność na steaku wnet djabli wzięli, bo rozbawionej pani Fipskiej zachciało się na deser owoców. A pan Stefan wyrwał się nieopatrznie z propozycją pójścia do górnych salonów Alfresca. („Będzie trzeba wypić butelkę szampitra" — pomyślał pan Fipski: „Ładny kwiat... Setka trzaśnie extra!"). Wogóle, trochę to wszystko zaczęło drażnić amfitrjona. (Pan Hilary nie wątpił, że uprzejmy pan Stefan nie zechce mu robić przykrości i pozwoli uregulować zarówno górę, jak dół...).

— Jesteś nie w humorze? — zapytała męża pani Fipska.

Zanosiło się na małą małżeńską sprzeczkę, ale światła znowu zgaszono, znowu puszczono na kwadrat posadzki reflektory, i znowu ukazały się we drzwiach, prowadzących do damskiej garderoby, jakieś ogolone pejzaże.

— Charming - Sisters — powiedział pan Stefan odniechcenia.

Pani Fipska spojrzała na niego z ukrytym podziwem.

— Pan tu bywa chyba codziennie?

Młody człowiek zamarkował zakłopotanie. Powiedział nonszalancko:

— Ano... Sporo się tu pieniędzy wydaje.

— „Żebyś tak zdrów był" — zmełł w ustach przekleństwo pan Hilary — „Zawsze się, ancymonku, tak urządzasz, że ktoś za ciebie płaci!".

Charming - Sisters spodobały się ogólnie. Starsza Charming miała wprawdzie ministerjalnego, zeza, a młodsza — nieco piegów, ale w taniec kładły naprawdę całą duszę. I „szpagat" zrobiły, na zakończenie, fenomenalnie.

— Europejski numer — pochwalił pan Stefan.

Fipska uszczypnęła go pod stołem.

— Sam pan jesteś numer — szepnęła, z głęboką sympatją do pana Stefana. Poczem zaszczebiotała, jak młoda dziewczynka:

— Chce mi się pić! Dajcie mi jeszcze pić!

(„Żebyś, głupia, czkawki dostała.." — zaciął się w sobie małżonek: „Oszalała, czy co? Będę musiał 3 setki wybulić!").

*

Było już dobrze po rannych zorzach, kiedy zadzwonili o rachunek. Fipska nachyliła się do męża, zdjęta spóźnioną skruchą. Powiedziała mu na ucho:

— Hilary... Exigez l'addition avant le magistrat!

*

Niestety. Cudnej tej francuszczyzny, ani dalszych perypetyj, dotyczących 30-procentowego magistrackiego dodatku, pan Stefan już nie słyszał...

Zdjęty nagłą migreną, opuścił był lokal nieco wcześniej.

Co słychać na świecie?

ANGLJA. Wybory, które odbywają się obecnie, przechodzą pod znakiem ciężkiego kryzysu gospodarczego. Na 45 milj. mieszkańców, Anglja ma 1,200.000 bezrobotnych. Do mieszkania robotnika angielskiego, niedawno jeszcze najlepiej sytuowanego w świecie, zaczyna zaglądać nędza. Jeśli wziąć pod uwagę, że import bawełny angielskiej do Chin i Rosji, jest na razie niemożliwy; że Indje są na zawsze zamknięte dla tego towaru z powodu otwarcia fabryk w Bombaju; że przetwory bawełniane, produkowane w Egipcie, z powodzeniem konkurują z angielskimi; że wreszcie okręty handlowe stoją w portach bez ładunków — nietrudno będzie pojąć przyczyny ogólnego bezrobocia i to tem więcej, iż zapotrzebowanie na węgiel stosunkowo zmalało, przez zdystansowanie kopalń angielskich, staromodnie urządzonych, przez inne kopalnie świata. Stan ten stwarza dla Anglji niezbyt różowe perspektywy na przyszłość. Pominąwszy bowiem olbrzymie obciążenie skarbu zasiłkami, wypłacanemi bezrobotnym, nie można wykluczyć zaburzeń komunistycznych na tem tle.

FRANCJA. Komisja, badająca w Paryżu raport Schachta, nie ukończyła jeszcze swoich prac. Oczekują wszyscy z napięciem epilogu bezczelnych żądań niemieckich, co jednak nie przeszkodziło Francuzom wyratować niemiecki Zeppelin z ciężkiej opresji i prawdziwie po rycersku ugościć załogę statku. Miłą niespodzianką dla nas Polaków było nadanie Paderewskiemu najwyższego odznaczenia francuskiego.

AMERYKA. Szerokie sfery liczą się z uznaniem Rosji przez Stany Zjednoczone de jure i de facto. Przypuszczenie to potwierdza niedawna wycieczka amerykańska do Rosji. Ostatecznie nie można się dziwić przychylności Hoovera, jeśli zważy się fakt, iż w ostatnich dwóch latach poczyniła Rosja gotówkowe zakupy w Ameryce na sumę ponad 130 miljonów dolarów. Fakt ten jest tem znamienniejszy, iż Stany Zjednoczone są jedynym krajem, gdzie Rosja płaci gotówką pełną wartość importowanych do siebie towarów. Ciągle trwający przesyt wewnętrznego rynku amerykańskiego, zmusza do ekspanzji na wschód, gdyż inaczej — jak mówi Ford — „trzeba będzie budę zamknąć". Przesyt ten tłómaczy również polityką amerykańsko - rosyjską, oraz dziwnie łagodne ustosunkowanie się Ameryki do projektu niemieckiego na konferencji paryskiej.

ROSJA. Komintern proklamuje na dzień 1.8. b. r. święto „Czerwonego Dnia", jako protest proletarjatu całego świata przeciwko kapitalizmowi. Proklamacja ta wzbudza śmiech przez łzy, skoro zważy się olbrzymią nędzę głodową, obejmującą coraz to szersze obszary rosyjskie. Jakby na ironję wydano równocześnie „ukaz" grożący spekulantom żywnościowym pięcioletniem zesłaniem na Sybir. Rozbieżność polityki rosyjskiej, a raczej polityki „czerwonego proletarjatu" są tem dziwniejsze, iż protestują przeciwko kapitalizmowi, wysyłają na granicę afgańską wojska, celem ew. poparcia króla Amanullaha, oraz usiłują sobie skaptować tak hyperkapitalistyczne państwo, jakiem jest Ameryka.

LITWA. Z powodu zamachu na Waldemarasa, zapanował tam terror iście bolszewicki. Waldemaras, ogarnięty paroksyzmem szału, zblamował się znowu przez udzielenie dymisji ministrowi spraw wojskowych, rzekomo z powodu dawniejszej jego służby na terenie Polski. Drugim, poważniejszym blamażem jest nota, posłana przezeń do Genewy, w której oświadcza, iż nie może zatwierdzić umowy, zawartej swego czasu pomiędzy Polskim Czerwonym Krzyżem a Rządem Litewskim, dotyczącej wzajemnej wymiany jeńców. Jako motyw swego kroku podaje rzekomy fakt popierania przez P. C. K. elementów... wywrotowych na Litwie. Sapienti sat!

MAŁA ENTENTA odbywa w Białogrodzie zjazd, na którym między innemi omawiana jest sprawa utworzenia Międzynarodowego Banku Reparacyjnego.

POLSKA. Największem wydarzeniem jest otwarcie Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu, która ściąga do kraju tysiączne rzesze obcokrajowców i liczne wycieczki Polaków z zagranicy. Clou wystawy był koncert 18 tysięcy śpiewaków słowiańskich. Dowodem popularności wystawy i dobrze zorganizowanej propagandy jest między innemi artykuł czasopisma angielskiego „Daily News", który porównuje wystawę poznańską do wystawy w Wembley i bardzo pochlebnie wyraża się o polskiej inicjatywie. Wg. doniesień, napływających z kraju, możemy z ufnością patrzeć w przyszłość, ponieważ stan zasiewów jest nadspodziewanie dobry. Należy również zanotować, że przesilenie w przemyśle łódzkim osiągnęło w tych dniach swój punkt kulminacyjny.

Ja...el


P. Stanisław Szwarcsztejn, zwycięsca wyścigu samochodowego w Łodzi (p. artykuł w tym numerze na str. 10-ej).


P. Zofja Czaplińska, świetna artystka T. Polskiego, obchodzi 50-lecie swej pracy scenicznej. (Fot. St. Brzozowski).


B. dyktator Grecji gen. Pangalos został ponownie aresztowany przez obecny rząd grecki. (Wide-World - Photos).


Uczestnik „putschu" Kappa, mjr. Pabst, który, jak się okazało, pobrał od rządu niemieckiego 60.000 marek subwencji.


Adam Brodzisz, nowy polski „gwiazdor", kreuje rolę tytułową w filmie „Z dnia na dzień" (Fot. Dorys).


Zdetronizowany król Aszantów Prempeh uprawia zawód adwokata na Złotem Wybrzeżu (Wide World Photos).


W tygodniu ubiegłym stowarzyszenie akademickie „Arkonja" obchodziło uroczystość pięćdziesięciolecia swego istnienia. Na fotografji naszej widzimy grupę członków tego stowarzyszenia, zgromadzoną pod sztandarem korporacyjnym na podwórcu uniwersyteckim, skąd udano się w pochodzie na Mogiłę Nieznanego Żołnierza. (Fot. A. Sitkowskiego).


Dnia 16-go b. m. P. Prezydent Rzeczypospolitej dokonał otwarcia Powszechnej Wystawy Krajowej w Poznaniu.


W Angji rozpoczęła się już żywa kampanja przedwyborcza, która zadecyduje o obliczu nowego Parlamentu. Kandyduje również wiele kobiet. Na fotografji naszej widzimy jedną z nich, Mrs. Corbett, kandydatkę Partji Liberalnej, rozdającą na ulicach Londynu ulotki przedwyborcze konduktorom tramwajowym. (Wide World Photos).

Oszczędzaj pieniądze na wyjazd do Poznania na PWK!

Jedź na PWK, bo to Twój obowiązek narodowy!


Słynny lotnik amerykański Linbergh po ukończeniu wielkiego lotu z Meksyku do Stanów Zjednoczonych, wita się serdecznie ze swą ostatnią narzeczoną, Miss Anną Morrow (Phot. Underwood).


Nowy wielki sterowiec niemiecki typu „Zeppelin", rozpocząwszy szumnie zapowiadany lot do Ameryki, spadł na ziemi francuskiej, w Tulonie. Na fotografji widzimy jego konstruktora, d-ra Durr.

Lindbergh

RADJOWA SZTUKA SŁUCHOWA

BERTA BRECHTA

Orlętom lotnictwa polskiego, pp. Kubali i Idzikowskiemu, w przededniu ich lotu z Europy do Ameryki, poświęcamy.

WYZWANIE!

Tu stoi aparat! — Wsiądź nań! — Tam w Europie oczekują Cię! Sława ci się uśmiecha!

BOHATER PRZESTWORZY CHARLES LINDBERGH PRZEDSTAWIA SIĘ:

Nazywam się Charles Lindbergh. Mam lat 25. Mój dziad był Szwedem. Ja jestem Amerykaninem! Aparat swój sam sobie wybrałem. Leci on z szybkością 210 km. na godzinę; zwie się „Duch z St. Louis". Zakłady aeronautyczne w San Diego zbudowały go w 60 dni. Osobiście byłem przy tem! 60 dni i 60 nocy kreśliłem na mapach drogę mojej podróży. Sam polecę! Zamiast towarzystwa zabieram ze sobą więcej benzyny. Mój aparat niema radja; natomiast posiada najlepszy kompas. Trzy dni czekałem na dobrą pogodę, ale komunikaty są coraz gorsze: mgła nad wybrzeżem i burza nad morzem. Lecz już nie czekam dłużej. Teraz polecę! Mam odwagę!

CHARLES LINDBERGH Z NOWEGO JORKU WYRUSZA W PODRÓŻ POWIETRZNĄ DO EUROPY.

Mam ze sobą 2 lampy elektryczne, zwój sznurów, zwój nici, nóż myśliwski, 4 czerwone pochodnie, nieprzemakalne pudełko z zapałkami, dużą igłę, konewkę z wodą, 5 puszek konserw, z których każda wystarczyć może na dzień, siekierę, piłę, łódź gumową. I lecę! Teraz już lecę! Przed dwudziestu laty wsławił się Bleriot tem, że przeleciał 30 kilometrów nad morzem. Ja Przelecę 3000!!!

MIASTO NOWY JORK ROZPYTUJE OKRĘTY:

Tu mówi miasto Nowy Jork. Dziś o 8-ej rano odleciał stąd człowiek przez ocean w kierunku waszego kontynentu. Od siedmiu godzin jest już w drodze i nie mamy żadnej wiadomości o nim. Prosimy okręty o wiadomość!

Tu mówi okręt „Express of Scotland" — 49 stopni 24 minut północnej szerokości i 34 stopni 78 minut długości. Słyszymy nad naszemi głowami turkot motoru; z powodu mgły nie można nic zobaczyć. Możliwe, że to wasz człowiek na swoim aparacie „Duch z St. Louis".

PRAWIE PRZEZ CAŁĄ DROGĘ LOTNIK MUSI WALCZYĆ Z GĘSTĄ MGŁĄ.

MGŁA:

Ja jestem mgła i ze mną musi liczyć się każdy, kto wyjeżdża na wody oceanu! Przez tysiąclecia nie znalazł się śmiałek, który chciałby fruwać w powietrzu. Kimże jesteś ty?! Już się postaramy, aby i nadal nikt tu nie szybował! Ja jestem mgła! Wracaj!

LINDBERGH:

Nie uczynię tego!

MGŁA:

Teraz jesteś jeszcze wielki, boś się nie zapoznał ze mną. Jeszcze teraz widzisz trochę wody pod sobą i wiesz, gdzie strona lewa, a gdzie prawa, ale niech przejdzie jeszcze dzień jeden i jedna noc, nie dojrzysz wówczas ani wody, ani nieba; również steru swego nie ujrzysz, ani kompasu. Postarzej się o jeden dzień, a poznasz kim jestem!

LINDBERGH:

Nie boję się ciebie!

MGŁA:

Teraz masz 25 lat, ale gdy będziesz mieć 25 lat i jeden dzień i jedną noc — schórzysz! Pojutrze i za tysiąc lat będzie tu woda, powietrze i mgła. Ale ciebie nie będzie już.



Charles Lindbergh.

LINDBERGH:

Dotąd był dzień — lecz teraz następuje noc!

MGŁA:

To niesłychane! Od dziesięciu godzin walczę z człowiekiem, który leci w powietrzu i nie mogę go strącić z przestworzy!
Zajmij się ty nim, śnieżna zamieci!
I w nocy nadciągnęła śnieżna zamieć.

ŚNIEŻNA ZAMIEĆ:

Od godziny znajduje się we mnie człowiek na aparacie, czasem tam wysoko nademną, to znów nisko nad wodą. Od godziny miotam nim to w niebo, to w wodę. I choć nie może się nigdzie utrzymać — nie poddaje się jednak. Spada wdół i wzbija się wzwyż. Jest słabszy od drzewa na wybrzeżu, od liścia bez gałęzi, lecz nie ginie. Od wielu godzin człowiek ten nie widzi ani księżyca, ani swej własnej ręki, a jednak nie ginie. Pokryłam jego aparat ciężką powłoką lodową, aby go ściągnęła wdół, ale i lód z niej opada, a on nie ginie!

LINDBERGH:

Już nie mogę dłużej... Wnet spadnę do wody — a któżby pomyślał, że i tu jeszcze jest lód? Byłem już 3000 metrów wysoko i 3 metry głęboko nad wodą, ale wszędzie jest burza, lód i mgła. Dlaczego byłem taki głupi? Czemu rozpocząłem lot? Teraz nie mam odwagi umrzeć... Teraz ginę...

...Cztery dni przedemną dwuch ludzi pofrunęło — jak ja, poprzez wodę — i woda ich pochłonęła... I mnie też pochłonie.

SEN:

Śpij, Charlie. — Zła noc już minęła. Burza przeszła... Zaśnij choć trochę, wiatr cię wszak sam niesie...

LINDBERGH:

Nie będę spał. Nie jestem zmęczony.

SEN:

Tylko na chwilkę jedną oprzyj swą głowę na kierownicy. Tylko na chwileczkę. Przymknij tylko oczy. Twoja ręka wszak czuwa.

LINDBERGH:

Nie będę spał. Nie jestem zmęczony!

SEN:

Droga jeszcze daleka — wypocznij trochę. Przypomnij sobie pola i łąki nad Missouri. Tę rzeczkę — dom twój rodzinny.

LINDBERGH:

— Nie jestem zmęczony!

ROZMOWA LINDBERGHA ZE SWOIM APARATEM:

LINDBERGH:

Już nie tak daleko. Teraz musimy wytężyć wszystkie siły: Ty i ja!

(Motor odpowiada miarowym stukiem)

Czy mam dość smarów? Czy myślisz, że nam benzyny wystarczy? Czy dobrze się czujesz?

(Motor gra dalej)

Już całkiem zniknął lód, który tak cię gniótł. Mgła, to moja rzecz. Rób swoje dalej — leć dalej, furgocz dalej.

(Motor gra miarowo).

Przypomnij sobie: w St. Louis byliśmy obaj dłużej w powietrzu. Teraz już nie jest tak daleko. Zaraz będzie Irlandja i wnet potem Paryż!

Czyż my tego dokonamy? My obaj?
Od praczasów, gdy ludy zaczęły się poznawać, budowaliśmy drogi z drzewa, żelaza i szkła.

Przez tysiąc lat wszystko spadało z góry wdół, prócz ptaka. Dziś, pod koniec takiego tysiąclecia lecieliśmy w przestworzach z szybkością podwójną pędu huraganu. Nasz motor ma siłę 100 koni choć mniejszy jest od jednego. Urosła dziś nasza wola, mocna jak stal, jak granit. Dziś „Niezniszczalne" stało się „Dokonane"! Dziś! w naszej epoce!!!

Spolszczył Miecz. S-ny.

Ostatnie chwile cara Mikołaja 2-go

(Z nieznanych dokumentów)

Motto: *„Wczoraj wypiliśmy 125 flaszek szampana. Urżnąłem się haniebnie".*

(Wyjątek z pamiętnika Cara Mikołaja II).

Bywają ludzie którzy już w samem zaraniu swojego życia są przez los przeznaczeni na zniszczenie. Ludzie ci są poprostu opętani przez nieszczęścia i niema żadnej siły, która mogłaby ich uchronić od ponurego fatum, ciążącego nad każdym ich wyczynem.

Chłopi szkoccy mają nawet specjalne wyrażenie na określenie stanu człowieka, w którym nieodparty popęd wewnętrzny, wbrew wszelakim doradcom i pomimo wszelkiej pomocy, prze go do nieuniknionej katastrofy. Stan ten zowią „Fey".

I tak np. „fey" był król Jakób I, kiedy wbrew straszliwym wróżbom ziemi, piekła i nieba wyruszył, aby święta Bożego Narodzenia obchodzić w ponurem zamczysku Perth, gdzie czekał nań jego morderca i zdrajca Graeme.

Czasami jednak ponure igraszki losu skazują na śmierć całe rodziny. Wre wtedy walka, ciągnąca się niekiedy przez całe pokolenia, aż wreszcie „kismet" zwycięża, miażdżąc ostatniego z rodu w sposób często równie straszliwy, jak tajemniczy.

Takim rodem był ród Romanowych. Wymarły w linji męskiej jeszcze w roku 1730. Dzięki płodności niewiast i zmieszaniu się z linją Holstein - Gottorpów, wegetuje aż do roku 1917, by skończyć wreszcie tragicznie, w ciemnych piwnicach domu kupczyka Ipatjewa w Jekaterynburgu.

Ostatni z rodu Romanowych, car Mikołaj II, był właśnie „fey", a Rasputin jedynie przyśpieszył koniec już dawno przez los carowi wyznaczony.

Zamordowanie Rasputina w dniu 16-go grudnia 1916 roku, było nieomylnym znakiem buntu przeciwko dotychczasowym rządom kliki dworskiej. Dla cara winno to było być sygnałem ostrzegawczym, że coś w państwie szwankuje, że coś trzeba zmienić, lub być przygotowanym na najgorsze. Jednakże los „świętego starca" (Rasputina) był widocznie zbyt ciasno sprzągnięty z losem pary carskiej, skoro nie zrobiono nic, by przeciwdziałać budzącej się rewolucji. Nie pomogły ostrzeżenia angielskiego posła Buchanana, ani też przedstawiciela Francji Paleolegue'a. Nic nie zrobiono dla zagwarantowania spokoju i łudzono się zapewnieniami prezydenta ministrów, skrajnego reakcjonisty, Protopopowa, iż niema powodu do obawy.

A tymczasem niezadowolenie wzrastało, w stolicy zgromadziło się ponad 200.000 dezerterów i kiedy w dniu 22 lutego 1917 roku zmniejszono rację chleba do 600 gramów, rewolucja stała się faktem dokonanym.

W dwa dni potem odmówili Kozacy współdziałania z rządem; w dalsze dwa dni zalega już ulice miasta 400-ta trupów, a na chodnikach jęczy ponad tysiąc rannych.

A równocześnie w tym samym dniu oczekuje Rodziankow odpowiedzi od cara, którego prosi na „zmiłowanie boskie" o zezwolenie na zmianę rządu. Oczekuje naprożno. Śle więc drugą depeszę, w której donosi, że „sytuacja ulega pogorszeniu z godziny na godzinę... że jutro już może być zapóźno na decyzję" ze strony cara. Jednakże odpowiedzi się nie doczekał, natomiast Protopopow rozwiązał dumę.

Gdy wreszcie Mikołaj zorjentował się w sytuacji, było już rzeczywiście zapóźno. Już 2-go marca 1917 r. zmuszony jest zrezygnować z tronu.

Lecz ostatecznie nie wszystko jeszcze było stracone. Mógł wówczas mieć nadzieję, że uda mu się wymknąć poza granice Rosji i w ten sposób uniknąć dozgonnego zamknięcia w twierdzy petropawłowskiej, jak tego domagały się szumowiny społeczne, zebrane w Piotrogradzie w dzień podpisania aktu rezygnacyjnego.

Trwają więc rokowania z rządem angielskim i wreszcie w lecie 1917 r. przychodzi sucha decyzja: „wjazd dawnego monarchy rosyjskiego na terytorjum państwa brytyjskiego jest niemożliwy aż do czasu ukończenia wojny".

Został więc car wraz z rodziną zdany na łaskę rebeljantów, którzy wywożą go latem z Carskiego Sioła do Tobolska. I jakby na ironję losu parowiec jedzie obok Pokrowskoje, miejsca urodzenia Rasputina. Obserwuje więc rodzina carska dom „świętego starca" i jeszcze wtedy nie zdają sobie sprawy, że gdyby „święty starzec" nie istniał — Rosja wyglądałaby nieco inaczej, a rodzina carska nie byłaby doprowadzona do dzisiejszej ruiny.

Kiedy wreszcie wyładowano „pułkownika Romanowa" z rodziną w Tobolsku, spędza były samodzierżawca czas na piłowaniu i rąbaniu drew, zaś caryca, zatopiona w modłach, nie widzi świata poza świętą ikoną aż do chwili, gdy zmniejszona racja żywnościowa zmusi do krzątania się za zdobyciem codziennego chleba i żebrania u mieszkańców o jaja, pieczywo i słodycze dla chorego carewicza.



Wspaniały pałac ostatniego Cara Mikołaja II-go w Petrogradzie zwany „Pałacem Zimowym" został przerobiony na luksusowy hotel dla podróżujących cudzoziemców.

Lecz i teraz można uciec i wykorzystawszy stałe pijaństwo wartowników, oraz przychylność dowódcy czerwonogwardzistów pułkownika Kobylińskiego — przedostać się poza granice Rosji. Lecz car odrzuca i tę sposobność. Musi odrzucić, gdyż jest „fey"...

Nastały później jeszcze cięższe czasy, gdy z końcem kwietnia wywieziono rodzinę carską do Jekaterynburga. Notoryczny pijaczyna Awdejew, a następnie Jurowskij i Gołoszczekin stają się panami życia i śmierci cara.

Obrzydzenie bierze na myśl o wstrętnych sztuczkach jakich dopuszczali się ci ludzie, by zohydzić każdą chwilę pobytu w więzieniu dawnemu autokracie i jego rodzinie.

Caryca, zatopiona w modlitwie, zdaje się nie dostrzegać tych tysiącznych szykan i poniżań, na jakie narażeni są wszyscy ze strony pijanego żołdactwa.

A car?

Car milczy i przeżywa widocznie całe swoje życie. Przypomina sobie zapewne, jak to po klęskach floty rosyjskiej, po zgonie admirała Makarowa, po przekroczeniu przez Japończyków rzeki granicznej Jalu — podczas wojny rosyjsko japońskiej — pisał w swoim pamiętniku: „Zrobiłem dzisiaj piękny spacer.... Zabiłem trzy wrony"...

A kiedy doniesiono o ciężkiej porażce rosyjskiej w dniu 18 kwietnia — pod tą samą datą znajdujemy w pamiętniku carskim adnotację: „wiosłowałem na Gatczynce... zabiłem jedną wronę"....

A potem, w dniu 18 maja, po upadku Portu Artura, pisze car: „zabiłem jedną wronę"...

A czyż było inaczej w innych sprawach? Czy car zatroszczył się kiedykolwiek w swoich zapiskach o sprawy państwowe? Czyż nie pisze w pamiętniku na wieść o zabiciu generał gubernatora Finlandji — Bobrykowa — „zabiłem jedną wronę"...

Widocznie więc rozpamiętuje obecnie chwile ubiegłe, gdy przez zwyczajną tępotę, czy też zupełny brak zainteresowania najżywotniejszymi odruchami państwa, przygotowywał sobie zwolna, lecz systematycznie ponury koniec panowania.

A może dręczą jego sumienie te niezliczone ofiary rozstrzelane, lub powieszone za polityczne wykroczenia?

Strach pomyśleć, że jednak w ciągu zaledwie trzech lat w czasie od roku 1905 — 1908, padło z woli wszechwładcy 2826 ludzi, za dążność do wolności i konstytucji.

A przecież nie brakło rad i ostrzeżeń. Przecież nie zapomniał chyba car tej chwili, gdy od słynnego terrorysty Schaumana, otrzymał w dniu zamordowania Bobrykowa list, w którym rewolucjonista ten pisze jak czuły i sentymentalny chłopiec: „poświęcam moje życie, by Cię przez to przekonać o ciężkiem położeniu Rosji. Ponieważ znam dobre serce i szlachetne zamiary Waszej Cesarskiej Mości, błagam o baczne obserwowanie położenia"...

Jeśli więc car rzeczywiście rozpamiętywał minione chwile, to reminiscencje te musiały być zaiste niemniej straszne, aniżeli naigrawanie się czerwonej dziczy z złamanego samodzierżawcy!

Tak wloką się dni aż do 16-go lipca. Wczesnym rankiem wpada Jurowskij do izb zamieszkałych przez rodzinę carską i zbudziwszy wszystkich, każe iść za sobą do suteryn, rzekomo celem zabezpieczenia ich przed grożącem niebezpieczeństwem z powodu wybuchu niepokojów w mieście.

Tam też rozegrał się ostatni akt tragedji Romanowych.

Natychmiast po przyjściu na miejsce dołącza się do Jurowskiego komisarz Jermakow i Waganow, oraz siedmiu jeńców wojennych b. armji austrjackiej i niemieckiej. Jurowski przystępuje następnie do cara i mówi mu: „biali chcieli cię uwolnić, lecz nie udało im się to. Jesteśmy zmuszeni rozstrzelać cię".

W tym momencie podnosi pistolet i zabija cara na miejscu. Wystrzał pistoletu Jurowskiego staje się hasłem salwy. Każdy wybrał sobie jedną ofiarę. Prawie wszyscy ponieśli śmierć natychmiastową. Tylko Anastazja, córka cara, pełzała jeszcze na kolanach i błagała o zmiłowanie. Dobito ją bagnetami. Zatłuczono również Demidową pokojówkę która uratowała się ukrywszy się pod stosem poduszek.

Trupy zamordowanych zostały wywiezione za miasto do lasu. Tam oblano je benzyną i naftą i spalono. Po rodzinie carskiej nie pozostał żaden ślad, z wyjątkiem znalezionych później kilku stalówek z gorsetu carycy i dwóch szczoteczek do zębów.

Dnia 20-go lipca 1918 roku czytali mieszkańcy miasta Jekaterynburga następujące ogłoszenie:

POSTANOWIENIE
PREZYDJUM URALSKIEJ RADY ROBOTNICZO-WŁOŚCIAŃSKO - ŻOŁNIERSKIEJ.

Ponieważ stolica czerwonego Uralu, Jekaterynburg, jest zagrożona przez bandy czechosłowackie, zaś ukoronowany kat może przez to znaleźć sposobność uchylenia się od sądu ludowego (odkryto właśnie sprzysiężenie białogwardzistów, które miało na celu uprowadzenie rodziny carskiej) — Prezydjum Rady stosownie do życzenia Narodu postanowiło:

Rozstrzelać byłego cara Mikołaja Romanowa, który stał się winnym niezliczonych krwawych zbrodni, popełnionych w stosunku do ludu rosyjskiego.

To postanowienie Rady zostało wykonane w nocy z 16-go na 17-ty lipca.

Rodzina Romanowa została przetransportowana w inne bezpieczne miejsce).*

Prezydjum Uralskiej Rady Rozkazodawczej Robotniczo-Włościańsko-Żołnierskiej

*) To ostatnie nie polega na prawdzie, ponieważ, jak wiadomo, rodzina carska została również rozstrzelana.

Ja...el.

Głos z przystanku

Maluczko, a będziemy mieli w Warszawie kolejkę podziemną, taką prawdziwą „Metropolitaine" albo „Nord Sud", zupełnie jak w Paryżu. Obiecał nam ją przecież nasz prześwietny Magistrat — rozpoczęto już podobno targi z koncesjonarjuszami zagranicznymi — i, tylko patrzeć, rozpocznie się świdrowanie prostych, jak strzała, tunelów na pierwszej linji Mokotów — Wola. Warszawa, wzorem Londynu, Paryża i Berlina, stanie się olbrzymiem kretowiskiem, pod którego powierzchnią w dwudziestu minutach przejechać będzie można z jednej peryferji na drugą.

Tak, ale „zanim słonko wzejdzie, rosa oczy wyje". Wyć się też chce — wyć głosem nieludzkim — na widok mąk, na które sławetni rajcy stołeczni skazują swych obywateli, zmuszonych „tymczasem" do korzystania z usług tramwajów i autobusów. Bo przyjrzyjmy się tym dwum fotografjom, blademu odbiciu o ileż smętniejszej rzeczywistości! Podobnie, jak na wrotach dantejskiego piekła widniał pełen grozy napis: „Wy, którzy tu wstępujecie, porzućcie wszelką nadzieję" — na przystankach tramwajowych i autobusowych w Warszawie winien znajdować się napis: „Wy, którzy pragniecie tu wstąpić — bierzcie taksówkę, albo idźcie pieszo!".



Bezpłatne i powszechne lekcje lekkoatletyki na warszawskich przystankach tramwajowych (Zdj. spec. A. Sitkowskiego)

Niedawno jeden z mych przyjaciół, niedyskretnie zagadnięty, czemu po ośmiu latach pożycia małżeńskiego nie dochował się spadkobiercy miecza i... posady urzędnika szóstej rangi, westchnął, przewrócił oczyma i odparł głosem tęsknym, jak płacz majowej fujarki:

— Czemu nie mam dzieci? Bo nazbyt je kocham, bym miał je skazywać na męki żywota, a zwłaszcza na jazdę warszawskiemi autobusami lub tramwajami. Dziecko w wieku szkolnym wstaje o godz. 6.30, aby przed ósmą zdążyć na pierwszą lekcję. Zdarzyło mi się raz obserwować w jaki sposób nasze biedne pędraki zdobywają o tej porze miejsca w środkach lokomocji. Odpychane, miażdżone, niemal że nie bite, po kilka kwadransy wystają na przystankach, płacząc ze strachu, że nie zdążą na dzwonek i drzwi szkoły zastaną zamknięte... A tłum dorosłych, śpiesząc do biur, fabryk i magazynów, łokciami, kolanami i pięściami toruje sobie drogę do tramwaju lub autobusu...

— Ten sam los spotyka zresztą nasze panie — o ile, naturalnie, nie są piękne, szykowne i młode. Rycerskość przedwojenna poszła do lamusa wraz z innemi „przesądami". Więc —

— Więc?

— Czekam na kolejkę podziemną...

Długo rozmyślałem nad niedolą mego przyjaciela, skazanego na bezdzietność... Obchodziłem przystanki tramwajowe i autobusowe, badałem, węszyłem, doczekałem się nawet, że jakiś posterunkowy wziął mnie za złodzieja kieszonkowego... Lecz wreszcie — Eureka! Eljen! Evviva! Hoch! Niech żyje — *znalazłem!!!*

Zanim upragniona kolejka podziemna z łoskotem potoczy się pod ulicami Warszawy, należy — i to co rychlej! — stworzyć „kolejkę" na przystankach.

Dziś, kto zwinniejszy, kto gorzej wychowany i kto brutalniejszy — ma pierwszeństwo w tramwaju i autobusie. A winno być tak — jak to dzieje się we wszystkich metropoljach starego i nowego świata — że pierwszy dostaje się do wnętrza ten, kto najdłużej na przystanku czeka.

Rozwiązanie praktyczne tego palącego zagadnienia jest bardzo proste i niekosztowne. Wystarczy na główniejszych przystankach ustawić specjalne barjerki, między któremi spragnieni jazdy będą stawać w kolejce, opuszczając ją i zajmując miejsca w miarę odpowiednich informacyj konduktora nadjeżdżającego wozu. „7 miejsc!" — i 7 pierwszych osób wchodzi do tramwaju, a reszta czeka, pewna, że nie zostanie pokrzywdzona przy nadejściu następnego wozu.

Abo — jeszcze tańszy — system numerków. Cały stos, w miarę zużycia odnawiamy, wisi na słupie przystankowym. Każdy świeżo przybyły amator jazdy tramwajem lub autobusem odrywa jeden numerek i kolejno zajmuje wolne miejsce w jednym z nadjeżdżających wozów.

Sposoby te praktykowane są m. in. w Paryżu, na wielkim i ruchliwym przystanku „Chatelet". Jeśli Warszawa naprawdę zasługuje na nazwę „Paryża Północy", winna bezzwłocznie wprowadzić u siebie podobne udogodnienia. Dzieci nasze przestaną wtedy spóźniać się do szkół, lub wracać do domu w poszarpanem odzieniu i z posiniaczonemi ciałkami. Matki i żony nasze przestaną być ofiarami brutalności „kultury" powojennej — i, co uszczęśliwiłoby mnie niezmiernie — przyjaciel mój mógłby zostać ojcem, a ja — ojcem chrzestnym jego chłopczyka...

(p.).



Dużo powołanych, lecz mało wybranych... (Zdj. spec. A. Sitkowskiego)

Pływająca śmierć

„Oczywiście, że byłoby to wielce nieostrożną rzeczą powierzać się w lutym zdradliwej wodnej ciszy" — mówił Romasz. „Czy nie był pan jeszcze nigdy na wschodnim wybrzeżu morza Czarnego, między listopadem a marcem? Nie? Skoro jednak zawiodą tam pana losy w tych miesiącach, a znęcony ciepłym i słonecznym dniem zechce się pan oddalić więcej, aniżeli pół kilometra od domu, — radzę nie zapominać o ciepłem odzieniu. Niech pan nie ufa termometrowi! W ciągu jednej do dwóch godzin może pan odczuć ostry wiew północno-wschodniego wiatru i zatęskni pan napewno za futrem. W tych okolicach wieją w zimie tylko dwa wiatry: południowo - zachodni i północno-wschodni, a pogoda jest akurat tak zmienna jak wiatry".

Gdy motorówka nasza odbiła od brzegu, panowała zupełna cisza, morze było całkiem spokojne i wkrótce znikło miasto z horyzontu.

Przyjaciel mój siedział przy sterze i obsługiwał równocześnie motor, podczas gdy ja urządziłem się wygodnie na przodzie łodzi, trzymając w ręce karabin.

Już na piątej mili od brzegu ukazały się delfiny, które rozpoczęły natychmiast wyścig z łodzią. W pewnym momencie zoczyłem większego delfina w chwili, gdy koziołkował się nad wodą. Instynkt myśliwego rozbudził się we mnie i gdy delfin skok powtórzył, wystrzeliłem. Zdobycz ciężko opadła w wodę i po upływie jednej minuty jasno stalowy brzuch delfina ukazał się nieopodal nas.

Nie łatwo było załadować na łódź śliską, ponad sto kilogramów ważącą masę cielska. Pracowaliśmy prawie pół godziny i, gdy już wciągnęliśmy delfina do połowy, nagle łódź zachwiała się i nabrała wody. Równocześnie musnęła nas zimna fala wiatru. Jeszcze zanim zdołałem podnieść głowę, pojąłem co się stało: trafiło nas pierwsze uderzenie nadciągającego północno-wschodniego wiatru.

„Czy zdążymy na czas" — krzyknąłem w stronę przyjaciela.

„Musimy"! — odpowiedział krótko i próbował łódź odwrócić. Ale motor szwankował, a i łódź, obciążona wodą, z trudem poddawała się woli sternika. Wkońcu nadstawiła całą szerokość swego kadłuba na działanie wiatru i przy następnej fali pływał delfin w łodzi, jak w akwarjum.

Pierwszy podmuch wiatru był jednak tylko jakby ostrzeżeniem. Dopiero przy trzecim uderzeniu, które przybrało już charakter sztormu, zaczął wiatr wschodni dąć z całą siłą. Skoro rozpoczęła się ta nawała, biorąca swój początek gdzieś na szczytach kaukaskich gór, olbrzymia fala wyniosła naszą łódź na swój grzbiet i rzuciła ją następnie z straszną siłą w przerażającą przepaść.

„Trzymaj się mocno pokładu!" — usłyszałem poprzez łomot fal i w tymsamym momencie ujrzałem na prawo stromą ścianę fali o pienistym grzebieniu. Kilka sekund zakrzepła w bezruchu, jednakże potem poczułem, że spadam w zieloną przepaść i łykam słoną wodę. Zdawało mi się, iż trwało to całą wieczność zanim znowu wynurzyłem się na powierzchnię.

Pierwszą rzeczą, która przemknęła mi przez głowę, była myśl o łodzi. Znajdowałem się pomiędzy dwiema olbrzymiemi falami i dlatego nie mogłem widzieć daleko. Gdy jednak następna fala uniosła mnie znowu i pole widzenia powiększyło się, nie zobaczyłem nic, prócz bezbrzeżnej płaszczyzny wzburzonego morza. Z łodzi i przyjaciela nie pozostało ni śladu...

Nie miałem żadnego innego uczucia poza tem, że podemną znajduje się przepaść, która wciąga mnie coraz silniej. Nie wiedziałem ile sekund życia dzieli mnie jeszcze od śmierci, gdy nagle zoczyłem obok siebie jakiś płynący przedmiot. Wytężyłem ostatek sił, by się nań wdrapać, by się czegoś wreszcie uczepić. Następnie straciłem przytomność...

Świadomość powracała powoli. Gdy się zbudziłem, nie czułem ciała. Czyżbym umarł? Ale nademną mrugały gwiazdy, a dokoła widziałem pieniącą się, czarną toń wody...

Leżałem na dziwnym przedmiocie o walcowatej powierzchni i trzymałem się kurczowo metalowych uchwytów. Chociaż przedmiot ten tylko zlekka wynurzał się ponad powierzchnię wody, był on prawdopodobnie bardzo ciężki, ponieważ chwiał się prawie niewidocznie pod naporem fal.

Cóż to być mogło? Chciałem otworzyć dłoń, by widzieć czego się trzymałem. Prędko jednak porzuciłem tą myśl. Bo czyż wreszcie nie było to obojętnem? I tak wkrótce skostnieję pod lodowatym tchem wiatru. Już obecnie czułem ten straszliwy niepokój, który poprzedza śmierć przez zamarznięcie...

Zacząłem chyba majaczyć, ponieważ nagle nawprost mnie zobaczyłem coś, co nie mogło się pomieścić w głowie... Zamknąłem oczy, by przepędzić widziadło. Skoro jednak otwarłem je, znowu zobaczyłem to samo: z ciemności błyskały



...i począłem krzyczeć...

ku mnie trzy światełka: zielone i czerwone na równej wysokości, a ponad nimi w środku światło białe. Był to parowiec.

Z nadludzkim wysiłkiem otrząsnąłem się z bezwładu. Natychmiast poczułem na całem ciele przeraźliwe zimno. Ubranie zamieniło się w jeden wielki sopel lodu, ręce straciły czucie. Czy będę się tylko mógł utrzymać do przybycia parowca?

Układ świateł wskazywał, że parowiec zbliża się w moim kierunku. Czy jednak dostrzegą? A jeśli nie, to w jaki sposób dam znać o sobie? Chociaż oczy moje przywykły do ciemności, nie mogłem jeszcze dotychczas pojąć, na jakim przedmiocie się znajduję. Było to coś podobnego do olbrzymiej metalowej beczułki. Ale do czego u licha służyły rurki metalowe? Nurtowała we mnie myśl, że już gdzieś widziałem coś podobnego. Nagle wzdrygnąłem się. Pojąłem na czem leżałem...

Płynąłem na minie i trzymałem się rękami za zapalniki, do których eksplozji wystarczył lekki wstrząs...

Chciałem się rzucić w morze, lecz już w następnej chwili zrezygnowałem z tej myśli. Byłem bowiem tak osłabiony, że wystarczyło stracić oparcie, bym zatonął. Jakkolwiek sama świadomość pobytu na masie, napełnionej pięćsetkilogramowym materjałem wybuchowym, była dla mnie straszną, to jednak nie miałem dokąd uciekać...

500 kilogramów trotylu! Porcja ta była wystarczająca, aby największy pancernik zatopić w ciągu niewielu sekund. Ciemno zrobiło mi się przed oczyma na myśl, co się stać musi na wypadek wybuchu miny.

Nie odważyłem się na żaden najmniejszy ruch, na oddech... Leżałem na tym straszliwym potworze metalowym, który chyba na moją zgubę wypłynął z głębin morskich i trzymałem się kurczowo zapalników.

Tymczasem czas dłużył się i lata zda się upłynęły, nim tułów okrętu dokładnie się przedemną zarysował. Usłyszałem wyraźnie sapanie maszyn. Zaczerpnąłem powietrza i począłem krzyczeć — lecz nie był to krzyk, a szept raczej. Nawet w odległości pięciu kroków nie można go było słyszeć...

Z zimna utraciłem głos. Spadło to na mnie tak niespodzianie, że nie wiedziałem co czynić. Wiedziałem, że gdybym nawet minę opuścił, nie pozwolą mi siły na dopłynięcie. Gdybym jednak nawet dopłynął, nie będę mógł wdrapać się na okręt. Tymczasem okręt zbliżał się z nieprawdopodobną szybkością. Widziałem już dokładnie jego przód i pianę prutej wody. Przerażenie opanowało mnie znowu...

Przód okrętu znajdował się w linji prostej między mną, mną a światełkiem na maszcie, co oznaczało nietylko, że okręt był skierowany z matematyczną niemal dokładnością na mnie, lecz również i na to, co płynęło podemną. W tej chwili odległość dzieląca mnie od okrętu nie przenosiła dwudziestu metrów.

Dosięgła mnie fala. Czułem jak mina zaczyna chybotać. Stała jednak jeszcze w miejscu i w tej sekundzie, w której okręt powinien był na nią natrafić, nowa fala usunęła ją na bok. „Wędrująca śmierć" otarła się niemal o tułów okrętu, który zwolna przesuwał się obok mnie. Nie zważałem już więcej na niebezpieczeństwo wywołania eksplozji. Cała moja uwaga skoncentrowała się na linie, która zwisała z ściany okrętu. Skoro zdołałem ją uchwycić, zacząłem krzyczeć; głos mój brzmiał obecnie nieco głośniej. U góry ktoś zawołał, coś wpadło obok mnie do wody, następnie pochwyciły mnie mocne dłonie. Równocześnie błysnęło coś w pobliżu, przerażający łoskot wstrząsnął powietrzem — ja zaś straciłem przytomność.

Okręt, który mnie zabrał na pokład, był to grecki parowiec, dążący do Tuapsy. Dopiero w porcie odzyskałem przytomność i wówczas dowiedziałem się co następuje:

Skoro usłyszano krzyk na pokładzie, myślała wachta początkowo, że było to przywidzenie. Jednak krzyk powtórzył się. Oficer wachtowy skierował reflektor na dół i dostrzegł mnie kurczowo uczepionego do liny. Spuszczono natychmiast łódź, przyczem przypadkiem upadło wiosło do morza.

Teraz dopiero wyjaśnił się wszystkim powód eksplozji, która na szczęście nie wyrządziła żadnych szkód. Wiosło bowiem, pędzone falami, dopędziło minę i jedno uderzenie w zapalnik wystarczyło, by spowodować eksplozję.

Mój przyjaciel, z którym wyjechałem na połów delfinów, utonął, natomiast ja zostałem wyratowany dzięki „pływającej śmierci".

Spolszczył Ja...el.

Czy wiecie że...

...kroniki sądowe niejednokrotnie miały do zanotowania fakty, iż kobiety, w ciągu szeregu lat nawet, podawały się za mężczyzn. Aresztowanie niejakiej miss Gillson, która była zameldowana w Londynie pod 10-ma nazwiskami męskiemi, stało się tem większą sensacją, iż delikwentka, chcąc uciec z pod straży wpadła pod tramwaj i została zabita na miejscu. Niejaka Katarzyna Coombes, podając się za mężczyznę, zaślubiła inną kobietę, z którą żyła 14 lat. Okazało się również, iż doktór James Barry, inspektor szpitali londyńskich, uchodzący przez kilkadziesiąt lat zasłużonego żywota swego za mężczyznę, był kobietą.

*

...znany pisarz angielski, Wells nabył na licytacji korespondencję miłosną między małżonkami Browning (oboje zeszczytnie zapisani w literaturze angielskiej) za 20.000 funtów. Korespondencja ta składała się z 287 listów, z których każdy jest małem arcydziełem literackiem.

*

...kapitały 20 głównych firm kinematograficznych w Ameryce wynoszą zgórą 6 miljardów złotych.

*

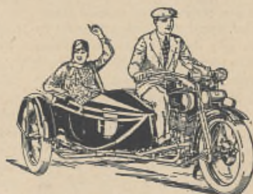
...samochodowe firmy w Anglji, we Francji i w Niemczech, zaniepokojone wzrastającym powodzeniem amerykańskich wozów na kontynencie poważnie rozważają kwestję zrzeszenia się w każdym z krajów, celem odparcia tej niebezpiecznej konkurencji. Trudno przewidzieć, jaki będzie wynik tej akcji wobec olbrzymich kapitałów, jakiemi rozporządzają Amerykanie. Dość powiedzieć, iż General Motors Co. osiągnęło zyski za ubiegły rok, wynoszące blisko 2 i pół miljarda złotych i posiada towary wartości 35 miljardów złotych.

HARLEY-DAVIDSON

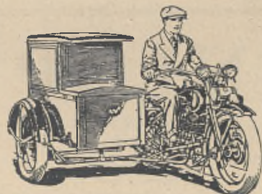




DLA SPORTSMENA



DLA CELÓW TURYSTYCZNYCH



DLA PRZEWOŻENIA TOWARÓW

BO JEST:
Silny
Szybki
Wytrzymały
Dobrze zawieszony
Idealnie wyważony
Piękny w linjach wygodny w użyciu
DAJE NABYWCY MAXIMUM WARTOŚCI
ZA MINIMALNĄ CENĘ

WŚRÓD 5 WSPANIAŁYCH MODELI
350 cm³ 500 cm³ 750 cm³ 1000 cm³ 1200 cm³

KAŻDY ZNAJDZIE ODPOWIEDNI DLA SIEBIE TYP MASZYNY

GENERALNE PRZEDSTAWICIELSTWO NA POLSKĘ
AUTO-SERVICE
WARSZAWA NOWY-ŚWIAT 9. TELEF. 141-07, 141-57. ADRES TELEGRAF. AUTOSERVIS.

POZNAŃ	KRAKÓW	LWÓW	KATOWICE	ŁÓDŹ
DAKLA	AUTOSPORT	SKOLIMOWSKI i SULIMIRSKI	AUTO-KONCERN	P. KALKBRENER SYN i S-ka
ŚW. MARCINA 54.	BRACKA 2.	ROMANOWICZA 1.	ŚW. JANA róg DWORCOWEJ	6 SIERPNIA 26.

HARLEY-DAVIDSON MOTOR C°. MILWAUKEE. U.S.A.

MARJAN HEMAR

Wyścigi samochodowe w Łodzi

(copyright by 7 DNI).

Jestem człowiekiem chorym na poważną wadę serca — m a m, j a k t o m ó w i ą, złote serce i to mi bardzo przeszkadza w pisaniu. Kiedy wypada mi z, j a k t o m ó w i ą „obowiązku sprawozdawczego", napisać nieprzychylnie o czemś, co się niebardzo udało, wtedy robi mi się nieswojo, ogarnia mnie zażenowanie, jak gdybym sam był współwinnym i najchętniej zredukowałbym obowiązek sprawozdawczy do suchego faktu pobrania pięciuset złotych honorarjum a nie napisałbym nic. Wiem zresztą o tem, że „krytykować jest najłatwiej", że „spróbój pan sam zrobić, to pan dopiero zobaczy!", albo, że „niech pan posiedzi parę godzin na mojem miejscu, to się pan przekona" i tak dalej. Wiem nawet, że nie było jeszcze na szczęście takiego, coby słuchał krytyki a w każdym razie nie było takiego, coby słuchał a potem nie żałował. To wszystko wiem. A jednak bywa czasem, że człowiek dla j a k t o m ó w i ą, dobrej sprawy przezwycięża i ten sceptycyzm i wrodzoną dobroć i owo zażenowanie i wrodzony wstręt do pisania i wmawiania sobie, że jego kilka, j a k t o m ó w i ą, „słów prawdy" przyda się owej, j a k t o m ó w i ą, „dobrej sprawie" i że się dzięki niemu zmieni coś na lepsze.

Zresztą — prosto z mostu: Nazbyt droga mi jest całość uroczego niemowlęcia Jasia Rippera, który mógłby być moim synem, gdybym ja był starszy a on nie był już od niedawna, t. j. od urodzenia, synem słynnego p. Wilhelma, abym mógł patrzeć spokojnie na takie rzeczy, jakie działy się na łódzkiej trasie wyścigowej. I on, młody cesarz automobilizmu (już dzisiaj jest to Wilhelm II... Ripper) i wysmukły Stasio Szwarcstein o nieruchomem spojrzeniu marzycielskich oczu—(b. mnie prosił, żebym już nie pisał o tem, że często mruga, dlatego właśnie piszę: o nieruchomem spojrzeniu marzycielskich oczu) — i młody, niezwykle zdolny automobilista lwowski p. Zawidowski i przyszła sława polskiego sportu samochodowego p. Apfelbaum i wogóle wszyscy oni dzielni, młodzi, lekkomyślni sportowcy są zbyt wiele warci, aby wolno było narażać ich życie organizacyjnemi niedociągnięciami.

Albowiem lekkomyślność jest może urokiem sportowca, ale jest piekielnym grzechem organizatora!

Tak np. Szwarcstein: tygodniami całymi szykuje się do wyścigu i to żeby jeszcze z ramienia jakiej zasobnej firmy — skąd! Własnym sumptem się szykuje a wiadomo, ile w dzisiejszych czasach przynosi fabryka papieru... Grosze. Nie licząc drobnych. Na parę tygodni przedtem jedzie do starego Bugattiego pod Strassburg, kupuje najdroższą, najstraszliwszą maszynerję, potem chucha na nią od rana do wieczora, dobiera świece, przestawia zapłon, próbuje różnych mieszanek benzolów, elkozyn, tetrametylodiabenzochloronaftalin, nie wszystko oczywiście w maszynie popsuje, bo czasu zamało, potem z tem, co zostało przyjeżdża do Łodzi na wyścig i rypie swoich stopięćdziesiąt-kilka kilometrów na godzinę na wąskiej, wąziutkiej szosie, która po obu bokach grozi mu pasmami głębokiego, grząskiego piachu. Nic łatwiejszego, aby przy takiej djabelskiej szybkości zniosła faceta z nawierzchni, niechby wjechał dwoma kołami w piach — o, przepraszam!, jak mówią w takich wypadkach. Lepiej już wjechać do rowu, bo przynajmniej męczy się człowiek krócej. Nie wolno tego robić. Nie wolno urządzać wyścigu, jeżeli się nie rozporządza odpowiednią szosą. O tem, że kierowcy zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa, świadczy fakt, że po wyścigu związali się wszyscy wzajemnem słowem, iż nigdy więcej nie staną w Łodzi do zawodów, w razie podobnego stanu trasy, ale gremjalnie od wyścigu odstąpią!

Publiczność, która zjechała tłumnie, w setkach samochodów z Warszawy, Lwowa, Krakowa, i gęstym szpalerem oblepiała drogę po obu stronach, poddana została okrutnej torturze kurzu. Po przejeździe każdego samochodu wstawały z głębokich pokładów owego piachu ogromne, białe, nieomal lepkie tumany szły na zbiorowisko ludzkie, niby chmura ataku, docierając wszędzie, szczególnie tam, gdzie wzrok nie sięga. Po kilku takich porcjach poszczególni ludzie chrześcili piaskiem przy każdem słowie, przy każdym mrugnięciu, przy każdym ruchu ręką, ba — nawet nogą... A przecież można było polać trasę naftą — toby nie było nawet

tak bardzo kosztowne, (można było wzamian za to podnieść choćby cenę biletu wstępu o 50 groszy), ale publiczność, która przyjechała zdaleka — bo nawet z samej Łodzi jest do miejsca wyścigu jedenaście z górą kilometrów podłej, wyboistej drogi — odczułaby, wzamian za swoje trudy, pieniądze i swój zapał sportowy—troskę gospodarzy o jej wygodę. Dziwne w istocie rzeczy zdarzają się w naszym kraju. 1) Młodzi sportowcy, prywatni zapaleńcy rujnują się na najdroższe, najlepsze maszyny, ze skóry wyłażą, aby podnieść nasze wyniki sportowe i zbliżyć je do poziomów europejskich, 2) publiczność, która przy takim wyścigu nie ma przecież ani totalizatora, ani rewji mód, ani nawet eleganckiego bufetu, wali tłumnie, interesuje się tym najmłodszym, najmniej w Polsce dostępnym sportem coraz goręcej, najżywszą sympatją bierze udział w radościach i smutkach każdego kierowcy, 3) my, prasa, roznosimy nasz entuzjazm automobilowy po kraju, popularyzujemy samochód i samochodowy sport najtroskliwiej setkami wzmianek, opisów, korespondencyj, ogłoszeń i t. p.) — a najgorzej stosunkowo wywiązuje się z zadania instancja, bezpośrednio w całej historji zainteresowana... Dziwna to jest rzecz. Nie mówię oczywiście, że jest tak z reguły — wszak wyścig tatrzański w ub. roku był majstersztykiem organizacyjnym, którego dokonał krakowski klub, w warunkach bez porównania trudniejszych, bo i w obcej miejscowości, w Zakopanem, i na drodze stokroć do opanowania trudniejszej! Może nie?

Wcale mi nie chodzi o to, aby krytykować. Skończyło się wszystko szczęśliwie, a to jest najważniejsze. Czasy osiągnięte są świetne, zwłaszcza w kategorji wyścigowej. Wszyscy trzej jeźdźcy, zwycięzca Szwarcstein, na ośmiocylindrowej dwulitrówce Bugatti z kompresorem, drugi po nim Jaś Ripper, na tychże czterocylindrach Bugatti, którymi wygrał tatrzański wyścig i trzeci, Zawidowski, na takiej samej maszynie, jak i Szwarcstein — wszyscy trzej pobili zeszłoroczny rekord toru Frühlinga. Szwarcstein przebył pięć km. w czasie, który na drodze w tym stanie jest niemal nie do pobicia. Czas ten wynosił 1 m. 57 sek. i 97 setnych i odpowiada szybkości przeciętnej 152,5 km. na godzinę! (Szybkość z którą mijał metę wynosiła ponad 180 km.) Słabsze są wyniki w kategorji sportowej. Dwa dobre czasy uzyskał zwycięzca, p. Cieński na trzylitrówce A-Daimlera i pani Regulska na lilipucim Fiaciku 509. Maszyna p. Regulskiej o motocyklowym motorze wyciągnęła 82 km. przeciętnej — czas, trudny zdaje się do pobicia, na tym samym wozie. Czas p. Cieńskiego, jakkolwiek najlepszy w kategorji, dałby się jednak na trzylitrówce poprawić, mimo, że inni kierowcy na tych samych maszynach osiągnęli znaczne słabsze wyniki.

Austro-Daimler, świetny samochód, w naszych warunkach bodaj, czy nie jeden z najlepszych — miał tego dnia pecha do kierowców... Najdotkliwiej dotknął pech mistrza Liefeldta. Mistrz Henryk jechał ostatni, na wspaniałej nowej wyścigówce Austro-Daimlera. Wystartował tuż po Szwarcsteinie — on jeden mógł jeszcze pobić zwycięski czas, choćby o ułamki sekund. Miał też duże szanse, bo Szwarcstein stracił ułamek sekundy na starcie, a Liefeld nie byłby stracił. Przecież to nie człowiek, a składowa część Austro-Daimlera... Maszynerja chodząca.. Napięcie było straszliwe. Czekamy, czekamy — aż tu woła jeden z sędziów, który stał u mety z chorągiewką: „Panowie, panowie — można przechodzić przez tor! Śmiało! Dorożka jedzie..." Przyjechał rzeczywiście po kwadransie, wolniusieńko, wolniutko. W pierwszej chwili myślałem, że się pomylił i myślał, że to próba elastyczności. Nie zmylił się mistrz taki... pływak mu się zaciął i utonął. Przyjechał do mety smutny, jak zeszłego roku Szwarcstein... I w tym momencie zabłysła najżywiej owa sympatja publiczności, o której przedtem wspomniałem. Jedno przeciągłe, smutne westchnienie przeleciało tłumem. Nikogo tak samochodowa publiczność nie kocha, jak tego najlepszego kierowcę, najmilszego dżentelmena, klasycznego kapitana samochodu. Ale nie smućcie się ptaszki, poczekajcie — Henio grzeczny, Henio odrobi, odrobi...

Niby pocieszam a sam smucę się najbardziej. Nie na to posyłałem go przecież przez trzy lata do Froma na naukę... Ech, ciężko sercu... zagrajcie cyganie! A rzewnie, a dziko!

Jeszcze jedną rzecz muszę zanotować z „obowiązku sprawozdawczego". Organizacja wyścigu nie zapomniała o kilkunastu ławkach dla publiczności zgromadzonej przy mecie. Niestety, ławki te, jedna po drugiej, zapadały się z głośnym trzaskiem. Ktoś dowcipny, powiedział, że ławek dostaczyła fabryka Plage-Leśkiewicza. Czy to nie pech, że jedyny kawał w feljetonie, jedyny dobry kawał — nie jest mój?

Trudno. Pływak mi się zaciął.

(Fot. Szwarcsztejna p. str. 3)

Czy wiecie że...

...ostatni program amerykański, dotyczący budowy floty, postanawia w ciągu następnych pięciu lat wystawić: 26 okrętów linjowych o pojemności 10,000 ton, 3 krążowniki, 3 awiomatki i 18 kontrtorpedowców. To wszystko ma kosztować miljard dolarów. Obecny stan floty amerykańskiej wynosi 15 okrętów linjowych, 13 krążowników, 102 kontrtorpedowce, 74 łodzi podwodnych, 190 hydroplanów, 24 trawlery (poławiacze min), oraz 70 okrętów różnych. Obsada tych statków wynosi 90,000 oficerów i szeregowych.

*

...w roku 1877 przybył do Kalkuty chłopiec żydowski, podówczas chłopak okrętowy, nazwiskiem Rufus Izaak. W 40 lat później ten sam chłopiec wjeżdżał do Kalkuty witany grzmotem salw działowych już jako Lord Reading, wicekról Indji.

*

...niektórzy geologowie twierdzą, że zapasy nafty starczą na świecie zaledwie na 70 lat. Natomiast według obliczeń państwowego urzędu geologicznego w Waszyngtonie, zapasy nafty w Stanach Zjednoczonych starczą zaledwo na lat dwanaście. jeśli zużycie nafty i jej przetworów będzie takie jak dotychczas.

*

...długość europejskich sieci kolejowych wynosiła wg. ostatnich danych 270,393 km. Na przestrzeni 8,010 km. poruszały się pociągi elektryczne. Lokomotyw było ogółem 96, 635, z czego elektrycznych, z końcem 1926 r. 1745.

*

...cesarz Wilhelm II-gi urodził się z sparaliżowanym jednym bokiem. Dzięki usilnym zabiegom lekarskim i intensywnie stosowanej gimnastyce osiągnął możność swobodnego poruszania się. Pozostała mu jednak jedna ręka krótsza, którą tak zręcznie władał, że jedynie najbliższe jego otoczenie o tem kalectwie wiedziało.

*

...komendant pierwszej szkoły oficerskiej francuskiej, założonej w roku 1793, pułkownik Berteche, był 42 razy ranny. Nazwisko jego wsławiło się pozatem jeszcze przez fakt uwięzienia go przez własnych elewów. Toteż było przyczyną definitywnego zamknięcia szkoły.

Ja...el

Kornel Makuszyński

Kobieta i pajac

Poniższy artykuł znakomitego pisarza polskiego został nadesłany do Redakcji „7 DNI" pod nast. dowcipnym adresem, własnoręcznie przez Mistrza wypisanym na kopercie:

„Szanowna Redakcja Poniedziałku, Wtorku, Środy, Czwartku, Piątku, Soboty i Niedzieli — w miejscu".

Zagadnięty na temat: skąd to pochodzi, że niektórzy mężczyźni mają t. zw. „fenomenalne" szczęście u kobiet? — zastanowiłem się nad tem głęboko, aby po wielu dniach rozmyślań dojść do przekonania, że nikt nigdy tego nie odgadnie. Skąd bowiem może ktokolwiek wiedzieć o tem, dlaczego kobieta straciła dla jakiegoś furfanta cały swój rozum, serce i duszę, kiedy w pierwszym rzędzie ona sama nie wie, dlaczego się to stało? Jest to jej wielkiem i nadnaturalnem szczęściem, ta mgła na niebieskich oczach miłości, gdyby bowiem serce kobiece miało piątą klepkę i w swoich poczynaniach używało wszystko widzącego mikroskopu, umiałaby na ziemi umrzeć miłość, umarłszy śmiercią głodową. Jasnem jest bowiem, że niema na świecie ani jednego egzemplarza męskiego rodzaju, któryby był godnym tak wielkiego szczęścia, jaką jest miłość kobiecego serca. Może bym ja jeden ostał się i zdobył palmę wśród zbiegowiska okpiświatów; należy bowiem przyjąć za zasadę, że mężczyzna jest to wąż, przemyślny a chytry, co takie umie stroić anielskie miny i takie nadobne wymyślać szachrajstwa, że z tego procederu żyje od początku świata i pożera kobiety, jako wąż właśnie ptaszęta niewinne. Czasem wprawdzie ptasze pożre węża, a z jego tęczowej skóry uczyni sobie pantofelki, jest to jednak wypadek rzadki, wtedy się zdarzający, kiedy natura ścierpieć już nie może męskiego łajdactwa i pragnie dać przykład odstraszający.

Gdyby piorun nie był głupim awanturnikiem i hałaburdą i mógł zrozumieć, czego może dokonać, gdyby słoń nie był zwierzem łagodnym i dnia jednego pojął swoją siłę, gdyby teściowa, litościwą ręką Boga ujarzmiona, wiedziała, jaki w niej tkwi nierozpętany szał niszczycielski, — straszne by się na świecie działy rzeczy. Najstraszniejsze wydarzyły by się jednakże wtedy, gdyby kobieta przejrzała. Dotąd nie widzi nic, tylko swoje serce, nie pragnie niczego, tylko miłości. Za pocałunek odda życie, za dwa pocałunki, duszę, za jakiś mendel pocałunków zbawienie wieczne. Potem mężczyzna, zwierz pręgowany, odchodzi, a kobieta płacze. Czemu płacze? Czemu ma serce spękane, jak asfalt na upale? Bo miłość jej była ślepa. Jest to najpiękniejsza miłość, ja jednak nie chcę, aby kobieta płakała. Dlatego każde słowo tego feljetonu ma minę zatroskaną i zmarszczoną na czole.

Bezkrytyczne, miłosne szaleństwo kobiecego serca, gotuje temu sercu piekielne męki i udręki, dlatego, że ma mgłę na oczach. Kochać bezkrytycznie, namiętnie i nieskończenie można jedynie ludzi piszących książki. Cała

Igo Sym — „Polski Valentino" jeden z wielu artystów filmowych polskich, którzy łapczywie angażowani przez zagranicznych reżyserów święcąc prawdziwe tryumfy podbijają serca pięknych pań. Sym nagrywa obecnie obrazy w „Sascha Film" (fot. „Estefilm")

Adolphe Menjou, najwykwintniejszy „dandy" paryski, do którego wzdycha nie jedno serduszko sentymentalnej pensjonarki. Grę jego cechuje ogromna kultura artystyczna, oraz subtelny cynizm podany w łatwej do przełknięcia formie. (fot. Paramount)

John Gilbert (po stronie prawej) którego podobizny zdobią wiele potajemnych albumów panieńskich. Żywiołowy, pełen temperamentu wnoszący do akcji rytm życia i miłości. U dołu serca, Maurice Cherallier doniedawny partner Mistinguette, znany piosenkarz, zaangażowany do filmów mówionych (Metro Julfilm)

Clive Brook — jeden z najpoważniejszych filarów Paramountu. Okrzyknięty przez tysiące swoich miłośniczek za stuprocentowego mężczyznę. Ocena bardzo trafna gdyż jego filmy przepojone są siłą, stanowczością i energją prawdziwie męską (fot. Paramount)



Wirgiljusz Gist, najpiękniejszy (podobno!) mężczyzna m. Chicago (Wide World Photos).



Artysta filmowy w otoczeniu urodziwych statystek.



Podbijający serca uśmiech Normana Kerry z „Universal Pictures"

reszta ludzkości jest grubo podejrzana, że w pewnej chwili zdradzi miłujące serce, czyli, jak się mówi w porównaniu muzycznem, popularnie używanem, — „puści je w trąbę". Dobrze jeszcze, jeżeli na tem się kończy i porównania nie tworzą całej orkiestry, w której jest parę — „bębnów".

Jak bardzo kobieta miłuje miłość dla miłości, uprawiając „sztukę dla sztuki", jak bardzo dotknięta jest ślepotą, rzucając się w ramiona romantycznej awantury, jak często miłość jej nabiera cech szaleństwa, — można to udowodnić na szeregu przykładów z czasów legendarnych, przeszłych i teraźniejszych. Bezkrytyczne szaleństwo i pożądanie miłości doprowadza kobietę czasem do tego, że potrafi się zakochać w człowieku uczonym, ba! w profesorze uniwersytetu, gorzej jeszcze, — w historyku, albo, co już jest nie do pojęcia, w autorze słownika. Nikt nigdy nie dojdzie, dlaczego się tak stało. Amor flat ubi vult. Przypadki te jednak wkraczają już w dziedzinę perwersji chorych namiętności i lekkiego obłędu. Nikt mi bowiem nie wytłómaczy, że kobieta, jako tako zdrowa na umyśle, może się duszą i ciałem oddać profesorowi wyższej matematyki, który nosi długie kalesony, zawiązywane na tasiemki, a kobietę uważa za niewiadomą; nikt mi nie wytłómaczy, że nie jest obłędem miłości, jeśli powodzeniem u kobiet cieszy się historyk, który młodą kobietę, do szaleństwa w nim zakochaną, uważa za okres średniowiecza, a jeśli ją czasem z lubością pogładzi, to dlatego tylko, że myśli, jakoby gładził pergamin z królewską pieczęcią. A jednak są kobiety, które darzą miłością takich ludzi. Jest to widać obciążenie dziedziczne i pozostałość po całych wiekach miłosnych obłędów. Oto przypatrzmy się, jakie to indywidua miały u kobiet największe powodzenie? Kogo miłowała boska Amfitryta? Czy boga? Czy bohatera? Czy śpiewaka? Czy lutnistę? Akuratnie! Boska Amfitryta miłowała Cyklopa, straszliwego dryblasa, pachnącego kozią stajnią, chama z jednem okiem na czele, głupowatego potwora. Ten drab bijał pewnie boską swoją kochankę, łypiąc jedynem, krwawem okiem, co pewnie, wedle najstarszej recepty, pomnażało jej miłość. A kogóż to miłowała bez pamięci śliczna czarodziejka Urgela? Czy tęczowego ducha, czy młodzieńca nadobnego, zamienionego przez nią w hyacynt? Czarodziejka Urgela miłowała nieskończenie potwornego łapserdaka, Bugryksa i to tylko dlatego, że ten bęcwał miał na każdej dłoni osiem płetw. Gdyby miał siedem, może by go było nie spotkało takie szczęście, ale miał ich osiem, przeto Urgela nie mogła wytrzymać. A dzielna, jednopierśna królowa Amazonek, Pentezilea? Ha! Ta miłowała Centaura, brodatego ogiera. Do tej samej rodziny należy zaliczyć, skuzynowanych z tą parą, Tytanję i osła Spodka; ta kombinacja stworzyła całą dynastję, do dziś niewygasłą, kompozycję klasyczną: boginię i durnia.

Królowa egipska Rodope, piękna to była królowa, lecz zwarjowała baba, zakochawszy się na śmierć w niejakim Phteta, urodziwym młodzianie, który miał ciało jako tako ludzkie, ale za to pysk krokodyla, co było początkiem jego miłosnej karjery; oszalała królowa, nietylko, że mu oddała królewski swój majestat, z szat ogołocony, ale ponadto wystawiła mu piramidę. A Tazyfe, córka króla Minosa, czyż nie miłowała byka, krowa łaciasta!? Wypadki te ponure i zgrozą napełniające, dały początek porzekadłu, wielce mądremu, które w języku ludu wykłada się: „Każda potwora znajdzie swego amatora".

Nie jest to czczem gadaniem; wszakże piękna królowa Marja Stuart chętnie widziała paskudnego karła, Rizia, wszakże pan Wiktor Hugo przedziwnie opisał romans oszalałej pięknej, jak bóstwo księżniczki Jozyany z maszkarą straszliwą, Gwynplainem. A pan Lopez w mądrej komedyjce pokazał, jak się nadobna dziewica zakochała w gębie z nieprawdziwego zdarzenia, niejakiego pana Ferrante.

Głośne te zdarzenia nie mają już odpowiedników w dniach dzisiejszych, dość trudno bowiem o don Juana z pyskiem krokodyla, albo z płetwami u rąk. Co prawda, niema dziś jedynie kształtów takich mocno zdeklarowanych i nie ulegających wątpliwości, zdarzają się natomiast dość wybitne zarysy człowieka - małpy, człowieka - świni, człowieka - ptaka. Z repertuaru klasycznego zachował się jedynie, jakeśmy to już zauważyli, stosunek gorącej miłości. Tyranji do człowieka - osła. Tym wzorem stara się wytłómaczyć nauka obłąkane powodzenie u kobiet tenorów, klawicymbalistów, amantów z kabaretu, a przedewszystkiem aktorów filmowych. Kobieta i pajac. Nie należy, oczywiście, generalizować i w czambuł oczerniać pięknych przedstawicieli tych fachów, lecz sprawiedliwie wyłączyć z pośród nich, liczbę niejaką, wybitnych obdarzonych rozsądkiem i subtelnym artyzmem. Zgódźmy się generalnie na jeden procent.

Ci mają u kobiet powodzenie niebywałe, co można tem jedynie wytłómaczyć, że wzajemna konkurencja i masowe zapotrzebowanie, jest dolewaniem oliwy do ognia miłości. Kobieta ma dziwaczny zwyczaj uwielbienia tego, co jest powszechnie uwielbiane. Rys ten, zauważony już u istot, taki wybitnie inteligentnych, jak owce, wiedzie do nagminnego szaleństwa bez względu na wiek i do skakania w ogień namiętniości. Korzystając z tych matactw i dziwactw przyrodzenia, piękny kretyn staje się półbogiem. Gdyby przed aeropagiem wieków postawić starego łachmaniarza, pachnącego czosnkiem i kwaśnem winem, Sokratesa i Adolfa Menjou, ongi kelnera, dziś niekoronowanego króla srebrnego prześcieradła, ujrzelibyśmy potworny pogrom filozofji. Może Sokrates miałby ułamek nadziei, gdyby miał krawat pana Menjou. Chociaż i wtedy nie... Dlatego też i Chaplin, smutny filozof kinematografu, podzielić musi los Sokratesa. Zapewne i w nim kocha się jakaś warjatko z czystem sercem, ale takie tryumfy wcale się nie liczą. Należy bowiem nadmienić z niskim ukłonem, że są jeszcze na świecie kobiety mądre z głową i sercem. My tu sobie igraszki stroimy jedynie z lichych imitacji, prawdziwemu sercu prawdziwej kobiety rzuciwszy przedtem uśmiech, jak kwiat...

Trzeba być pożądanym przez tysiąc kobiet, a za tydzień będzie się pożądanym przez dwa i pół miljona. Trudno jest o ten pierwszy tysiąc, nic łatwiejszego jak te miljony. Miłość rodzi miłość, szaleństwo rodzi szaleństwo, a snobizm rodzi snobizm i jego syna, idjotyzm. Uwielbienie jest chorobą epidemiczną i szerzy się, jak zaraza, jak morowe powietrze; leczy się jedynie metodą wybijania klina klinem, Valentina Ramonem Novaro. Modna miłość rozwija się modą solitera.

Zdarzy się czasem ślepej kiszce ziarnko i zdarzy się czasem, że bożyszcze warte jest powszechnego uwielbienia, o tem jednak nigdy nie wiedzą wielbicielki. One zawsze widzą „demona", — zawsze „szatana"; wyobrażają sobie, że kiedy taki „demon" całuje, to zawsze zgrzyta przedtem zębami, a kiedy wpadnie w szał, wtedy — ha! ha! — gryzie, bestja dzika, tygrys królewski. Czy ja zresztą wiem, o czem myśli kobieta, która uwielbia bóstwo z prześcieradła? Piękna kobieta nie hańbi się nigdy dociekaniem źródła swojego szaleństwa. Piotr Altenberg napisał na ten temat cudowną nowelę, która, stylem telegraficznym odpowiedziała, tak wygląda. Kobieta pisze pamiętnik, a więc: „*Środa*". Mąż przyprowadził na obiad Adolfa. Nieciekawe jakieś indywiduum. *Czwartek*. Znowu ten Adolf; irytuje mnie ten pan. *Piątek*. Zostałam kochanką Adolfa. Dlaczego? czy ja wiem? czy ja jestem Maupassantem?". Otóż to jest mądrze powiedziane. Gdyby każda kobieta była Maupassantem i wiedziała, dlaczego czyni to, co czyni, świat wzięliby djabli. Miłość zginęła by na uwiąd. Byłoby straszne. Może więc jest lepiej, tak, jak jest. Może dlatego życie jest piękne i miłość na niem kwitnie. Niech więc będzie ślepa, bo tylko pod tym warunkiem i ja mogę mieć jeszcze nadzieję... Ba! nawet Perzyński z głową taką, że mogłaby się w nim na śmierć zakochać królowa egipska Rodope.

„Warszawa w kwiatach"

REWJA W TEATRZE „MORSKIE OKO"

Już na początku istnienia teatru „Morskie Oko" zaznaczyła się dość wyraźna różnica zdań pomiędzy publicznością, a krytyką. „Morskie Oko" nie miało ani razu całkowicie dodatniej krytyki, mimo to jednak cieszy się bezsprzecznie największą frekwencją w stolicy.

Kamieniem niezgody jest przedewszystkiem poziom literacki teatru. Śmiało rzec można, że przez cały czas swego istnienia „Morskie Oko" nie miało ani jednego dobrego skeczu. W nowej rewji brak humoru w tekstach daje się odczuwać najdotkliwiej w konferansjerce, która, mimo rzetelnych wysiłków Sokołowskiej i Sempolińskiego jest tylko „watą", zaprawioną przechodzonymi albo wulgarnymi dowcipami.

Dużo humoru natomiast posiada strona muzyczna rewji. Piątka rodzimych Ravellers'ów — Bodo, Olsza, Roland, Sempoliński i Wars (szczególnie ten ostatni) znajdują się w doskonałej formie. Doskonały jazz Golda (dowcipna trawestacja Warsa popularnej „Madame") i orkiestra pod batutą Nawrota spisują się znakomicie.

„Clou" rewji stanowią dwa obrazy z udziałem Lody Halamy. Utalentowana i pracowita artystka w obrazie „Kobieta i bestja" pokazała taniec nietylko doskonale wykonany, lecz i głęboko odczuty. Drugi obraz p. t. „Rugby" tańca nie posiada prawie wcale, polega na robocie akrobatycznej czysto i brawurowo wykonanej wespół z Olszą i Wojcieszką.

Z pozostałych obrazów najbardziej dostatnie wrażenie wywierają: „Tango" (kompozycje Warsa i Petersburskiego), „Noc nad Sekwaną" z Nowicką, Olszą i Wojcieszką oraz „Mimoza", odśpiewana przez Gabrieli i odtańczona przez Alicję Halamę.

Doskonale są finały rewji. Pierwszy — kwiecisty, pogodny i rozśpiewany i drugi — efektowny, olśniewający i frapujący.

i. k.



Oryginalny obraz słynnego malarza meksykańskiego, Diego Rivera'y, narzedstawiający indyjskiego bożka Xochipille ,patrona wiosny i odrodzenia przyrody. W numerze następnym „7 DNI" zamieścimy artykuł o tym niesamowitym artyście.

Jeden z pięknych finałów ostatniej rewji w warszawskiem „Morskiem Oku", prawdziwie współcześnie pomyślany i wykonany przez pierwszorzędny zespół tego sympatycznego teatru rewji (Fot. St. Brzozowskiego).

Rzeczy ciekawe

Dawniej a dziś. — Nowoczesne łodzie ratunkowe. Towarzysz Fedorowicz ma głos. — Najeżdżać nie wolno!

W owych romantycznych czasach, kiedy czcigodny Diogenes siedząc przed swoją beczką, dłubał w nosie i wygrzewał się w słońcu, podróże morskie nie należały do przyjemności.

Trzeba było czekać, aż bogowie olimpijscy ześlą korzystne wiatry, a następnie trzymając się ściśle bliskości lądu, jak pijany płota, wlec się przez kilka tygodni do celu przeznaczenia. To też zwykle żegnano się rzewnie przed taką podróżą z rodziną i przyjaciółmi, a dla pewności spisywano testament.

Dziś nieco inaczej wygląda taka wyprawa do obecnych krajów zamorskich. Żaden przyjaciel się nie przejmuje, najwyżej martwią się wierzyciele, jeśli dowiadują się o tem post factum...

Już po pięciu dniach wita przybysza w suchym kraju prohibicji pomnik Wolności. Jeszcze spieszniej załatwiają się z tą odległością samoloty, a jeśli pomysł rakietowy zostanie wreszcie technicznie zrealizowany, to może już w ciągu pół godziny przeskoczymy dosłownie z Europy do Ameryki. Oczywiście — to jeszcze chwilowo fantazja, która jednak bezwzględnie ziści się w niedalekiej przyszłości.

Powrócimy jednak do naszych okrętów. Szczególnie jedno zagadnienie dręczy od pewnego czasu umysły inżynierów morskiej żeglugi. Aczkolwiek, uczyniono dotąd wszystko dla wygody pasażera, zapomniano właściwie o należytem zapewnieniu mu ratunku w razie katastrofy. Nasze staromodne łodzie ratunkowe, którym każdy pasażer przygląda się pełen zaufania i czci, właściwie szczerze powiedziawszy nic nie są warte. W chwili katastrofy ta ostatnia deska ratunku napełnia się wodą, nim zdąży się odczepić ją od okrętu.

To też ostanio zanotować można cały szereg pomysłów technicznych ulepszających akcję ratunkową w czasie tonięcia okrętu. Jednym z nich, to stalowe pontony okrętowe z wszystkich stron zamknięte. Nawet w wypadku, gdyby taka łódź okrętowa dostała się w wiry tonącego okrętu i została wciągnięta pod powierzchnię morza, jej pasażerom nie groziłoby niebezpieczeństwo, gdyż niebawem musiałaby wypłynąć na wierzch.

Obecnie Niemcy skonstruowali inny typ łodzi ratunkowych, mianowicie motorówkę o podwójnych ścianach, wobec czego łódź zawsze trzyma się nad powierzchnią, nawet gdy jest zupełnie napełniona wodą. Łódź zaopatrzona jest w mały motor, który działa niezależnie od stopnia zanurzenia łodzi. Długość tych nowych szalup ratunkowych wynosi około 10, szerokość 3 i pół metra.

Miejmy nadzieję, że po zastosowaniu nowych łodzi ratunkowych podniesie się poziom bezpieczeństwa na morzu, choć i tak już posunęliśmy się w tej sprawie daleko, a wszyscy ci, co uważają współczesne maszyny tylko za nowe środki zabijania ludzi, lub za przyrządy dla biednych rzesz robotniczych, zapominają o tem, że katastrofy — zwłaszcza morskie — zdarzały się również dawniej, zaś szlachetnych filantropów należałoby choćby na 8 godzin posadzić na rzymskiej galerze, aby przekonali się, że nawet najgorszy robotnik ma dziś lżejszą pracę, aniżeli galernik z przed 1000 lat.

Posuwamy się stale naprzód i wszystkie narody współzawodniczą w twórczej pracy. Niedawno skonstruował Rosjanin Ilja Fedorowicz urządzenie, zapomocą którego sam maszynista może łączyć lub rozłączać wagony pociągu. Wobec tego liczny personel kolejowy stanie się zbytecznym. Taki to pomysł powstaje w Sowieckiej Rosji, a nikt nie wyraża obawy, że wielu pracowników przy ogólnem zastosowaniu aparatury towarzysza Fedorowicza pozostanie bez chleba.

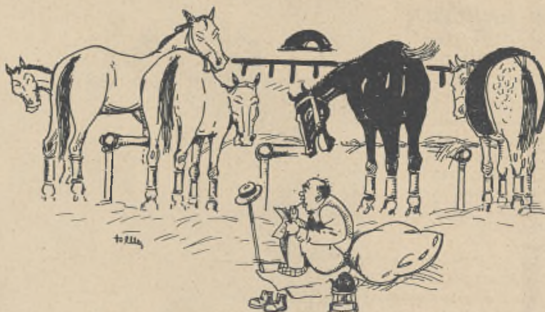
W Niemczech w grudniu demonstrował inż. Schleif nowe gumowe zderzaki samochodowe, które nietylko mają służyć do odsunięcia w bok niefortunnego przechodnia, lecz również dzięki swej elastyczności chronić będą samochód w razie zderzenia. Próba miała wypaść korzystnie.

Kto wie, czy niebawem więc wśród członków klubów automobilowych nie zakwitnie nowy sport: najeżdżanie na drzewa, bez rozbicia maszyny, z możliwie jak największą szybkością. Niezadługo może czytać będziemy w dodatkach sportowych wiadomości tego rodzaju:

„Światowy rekord w najeżdżaniu na przeszkody bez rozbicia się, pobił p. Katastrofalski, który podczas wczorajszych zawodów najeżdżał na różnego rodzaju przeszkody z szybkością 53,5 klm. na godzinę. Samochód p. Katastrofalskiego wyszedł bez szwanku. W czasie zawodów uległy zdemolowaniu 3 słupy telegraficzne, które jeden z zawodników brał przez omyłkę za przeszkodę. Odnośne władze powinny oczywiście zaopatrzyć wszystkie słupy i latarnie w napisy: Najeżdżać nie wolno!".

Dr. Feliks Burdecki.

HUMOR



Człowiek, który koniecznie chce wygrać nazajutrz na wyścigach...

Rozrywki umysłowe

REBUS

Podana poniżej jedyna w swoim rodzaju miniatura stanowi prawdziwe arcydzieło humoru rębusowego. Nie pretendujące do głębszego znaczenia rozwiązanie jest tu wyrażone rysunkiem, który stanowi jedną całość. Pod tym względem został prześcignięty słynny komiczny rebus, podziwiany przez czytelników dawnego „Labiryntu": „Wścieka się Balzac o nic" — W ście Kasie, bal zakonic. Amatorzy trudnych zadań mogą się cieszyć przez cały tydzień. My zaś powrócimy coprędzej (w następnym N-rze) do tradycji przystępnych zagadek, jednającej nowe zastępy zwolenników „rozrywek umysłowych".





NAGRODY

Za rozwiązanie powyższego rebusa przeznaczamy 5 nagród książkowych do rozlosowania. Rozwiązania z napisem „Dział Rozrywek Umysłowych" należy nadsyłać do dn. 5 czerwca.

Rozwiązanie zadań z Nr. 13.

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z N-ru 13, otrzymują w wyniku losowania pp. Marja Liwska i Kazimierz Szpigler z Warszawy, Mieczysław Choynowski, Poznań, Grochowe Łąki 3, Józef Salm, Łódź, ul. Wólczańska 109, kpt. Knauer, Lwów, ul. Dwernickiego 11-a.

R	O	T	O	R		D	E	L	T	A
O	W	A	D		P	O	L		R	A
T	A	R	A	B	A	N		M	E	R
O	D	A		A	R		S	U	M	
R		B	A	R	O	N		E	A	
	P	A	R	O	W	I	E	C		Z
D	O	N		N	I	E	M	I	E	C
E	L		S		E	M	I	L	J	A
L		M	U	E	C	I	L		R	
T	R	E	M	A		E	J	R	E	F
A	A	R			Z	C	A		F	I

NAGRODY

Za rozwiązanie zadań z N-ru 14 otrzymują w wyniku losowania: pp. Wanda Anderska z Warszawy, E. Miłowski, Poznań, ul. Małe Garbary 8, Stanisław Nowak, Poznań, Grobla 18, Helena Konopka, Milanówek, willa p. Studzińskiej, inż. Józef Modrzejewski, Lublin, Narutowicza 22.

Logogryf.

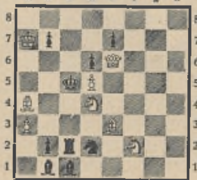
TOSCA
MITRA
MINERWA
ARFIK
DEKALOG
BANAT
MENAŻERJA
OMEGA
ANDRONY
AEROLIT
ANIMUSZ
AHASWER
ANKRY
AFISZ.

SZACHY

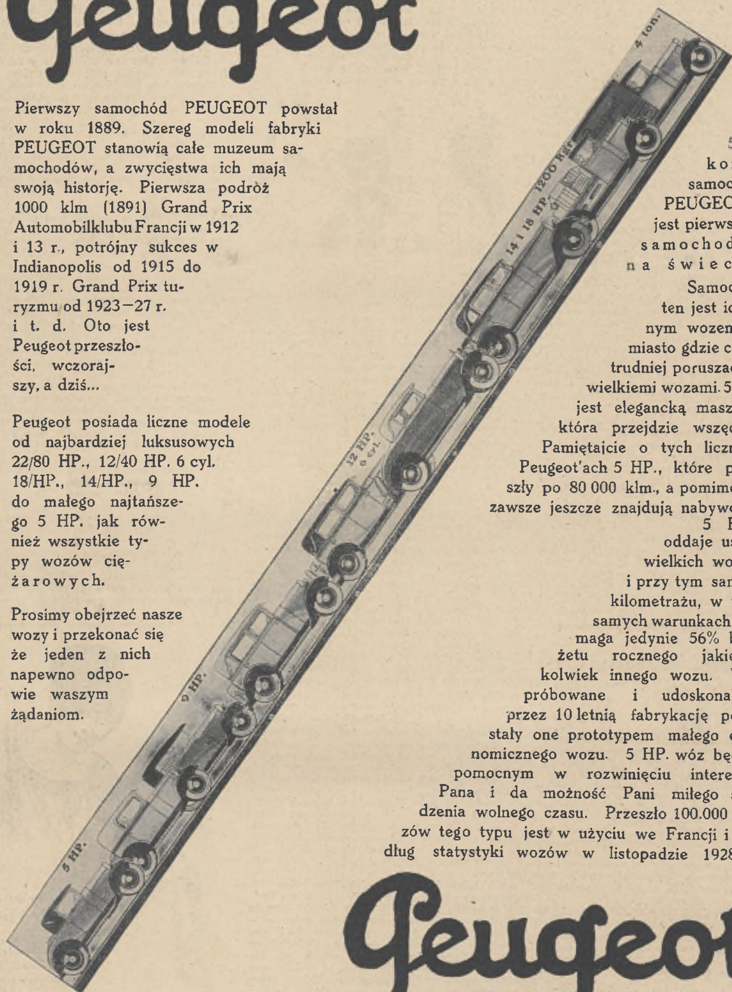
Zadanie Nr. 6

M. Havel, Czechosłowacja

Świat Szachowy, 1929



Mat w 3-ch posunięciach


Peugeot
Pierwszy samochód PEUGEOT powstał w roku 1889. Szereg modeli fabryki PEUGEOT stanowią całe muzeum samochodów, a zwycięstwa ich mają swoją historję. Pierwsza podróż 1000 klm (1891) Grand Prix Automobilklubu Francji w 1912 i 13 r., potrójny sukces w Indianopolis od 1915 do 1919 r. Grand Prix turyzmu od 1923—27 r. i t. d. Oto jest Peugeot przeszłości, wczorajszy, a dziś...
Peugeot posiada liczne modele od najbardziej luksusowych 22/80 HP., 12/40 HP. 6 cyl. 18/HP., 14/HP., 9 HP. do małego najtańszego 5 HP. jak również wszystkie typy wozów ciężarowych.
Prosimy obejrzeć nasze wozy i przekonać się że jeden z nich napewno odpowie waszym żądaniom.
4 ton.
1200 Kgr.
14 i 18 HP.
12 HP. 6 cyl.
9 HP.
5 HP.
5-cio konny samochód PEUGEOT'a jest pierwszym samochodem na świecie.
Samochód ten jest idealnym wozem na miasto gdzie coraz trudniej poruszać się wielkiemi wozami. 5 HP. jest elegancką maszyną, która przejdzie wszędzie. Pamiętajcie o tych licznych Peugeot'ach 5 HP., które przeszły po 80 000 klm., a pomimo to, zawsze jeszcze znajdują nabywców. 5 HP. oddaje usługi wielkich wozów i przy tym samym kilometrażu, w tych samych warunkach wymaga jedynie 56% budżetu rocznego jakiegokolwiek innego wozu. Wypróbowane i udoskonalone przez 10 letnią fabrykację pozostały one prototypem małego ekonomicznego wozu. 5 HP. wóz będzie pomocnym w rozwinięciu interesów Pana i da możność Pani miłego spędzenia wolnego czasu. Przeszło 100.000 wozów tego typu jest w użyciu we Francji i według statystyki wozów w listopadzie 1928 r.
Peugeot
„Polski Peugeot"
Oddział Fabryczny, Hoża 9, el. 435-55
Salon wystawowy: Al. Jerozolimskie 35, tel. 168 38.

Na psa urok!

(Z pamiętnika człowieka przesądnego)

Kilka ostatnich lat poświęciłem badaniu przyczyn najrozmaitszych nieszczęść i kataklizmów trapiących ludzkość. Wywody powag naukowych, tłomaczących te zjawiska prawami przyrody, bądź też ewolucją socjalną, nie trafiły mi do przekonania. Zawsze zdawało mi się, że brak jakiegoś tajemniczego ogniwa w łańcuchu utrapień, które jest właściwem źródłem niepowodzenia życiowego.

Aż wreszcie, operując w swych dociekaniach metodą obserwacyjno-porównawczą, zestawiając i grupując drobne codzienne zdarzenia, doszedłem do straszliwego odkrycia, że świat i ludzkość wpadła we władanie ponurych demonów. Ciemne te istoty, uważając nas wszystkich za przedmiot swej igraszki, z obleśnym uśmiechem na swych chytrych pyskach wyczyniają nam tysiące złośliwych figlów, wobec których jesteśmy bezsilni i zdani na ich łaskę i niełaskę. Mówi się i pisze dużo o trudnościach w uzyskaniu pożyczki amerykańskiej, o niezaradności magistratu warszawskiego, o Waldemarasie i temu podobnych klęskach szukamy przyczyn w niezaradności naszych mężów stanu, czy ojców miasta. Nieprawda! Wszyscy oni chcieliby jaknajlepiej, gdyby nie potworne, złe potęgi, niweczące w zarodku ich dobre zamiary.

A oto fakty, potwierdzające moją teorję.

Mam przyjaciela, znanego działacza na polu społecznem, twórcę licznych placówek kulturalnych i prezesa kilku przedsiębiorstw. Zwierzył mi się on pewnego razu, że od jakiegoś czasu coś się zaczyna psuć w jego interesach; czuje, że ktoś, czy coś zaczyna się wtrącać w jego plany i psuje mu szyki nieproszenie. Zaczęliśmy wspólnie śledzić i wyszukiwać nieproszonych mącicieli spokoju mego przyjaciela (zostałem jego sekretarzem osobistym tak na niby, żeby ciągle być mu na podorędziu), przyczem doszliśmy do pewnych konkretnych wyników, którymi dzielę się tutaj ze wszystkiemi ku nauce i pożytkowi ogółu.

Wstajemy rano, gdyż mamy przygotować bardzo poważny referat na posiedzenie. Jest **poniedziałek**, dzień w którym nie należy nic zaczynać, bo będzie się ciągnęło przez cały tydzień. W dodatku — **wstałem z łóżka lewą nogą.** Z tego powodu, rozstrojony i w niewesołym humorze, zaczynam sprzeczkę z moim przyjacielem. Drażni mnie jego pogoda ducha i wesołość, to też po paru chwilach kłócimy się zawzięcie. Ze złośliwem zadowoleniem widzę, że Nepcio (przyjacielowi na imię Nepomucen) **wkłada skarpetkę na lewą stronę.** Nie wyprowadzam go z błędu i nie ostrzegam przed mogącemi wyniknąć z tego powodu przykrościami, gdy spostrzegłszy swoje roztargnienie odwraca skarpetkę na prawą stronę. Dopiero po fakcie ze współczuciem prorokuję mu wiszące nad nim nieszczęście. Siadam do golenia, przyczem przez nieuwagę **tłukę lusterko.** Ogarnia mnie nieprzyjemne uczucie, czegoś nieznanego, a groźnego, które się zbliża do nas nieubłaganie, niszcząc już z góry wszystkie nasze plany.

Zgnębiony temi trzema po sobie następującemi wypadkami wyruszam z Nepkiem na śniadanie do kawiarni. Ledwie wyszliśmy na ulicę, przypominam sobie że zostawiłem pieniądze w domu. W pierwszej chwili mam zamiar **wrócić po nie,** lecz w tym momencie uzmysławiam sobie, że przez to tylko sam pójdę na rękę złemu fatum, które nas dosięgnie.



W kawiarni Nepek, który z natury jest trochę roztargniony, **wysypuje** sól na obrus, oraz ukrajawszy kawałek chleba, przez karygodną lekkomyślność, **kładzie go odwrotną stroną.** Czuję, że kielich naszej goryczy zaczyna się przepełniać! Oznajmiam to Nepkowi, który speszony nie kończy jedzenia i głodny zrywa się od stołu. Wychodzimy w nastroju pod psem.

Przed samym biurem **spotykamy** **pogrzeb,** oraz w drzwiach poczekalni popa. To nas dobija do reszty, to też z obrzydzeniem zasiadamy do pracy która nam idzie jak po grudzie. Wisząca nad nami tajemnicza groza, wyjaławia nam umysł. Brak nam do naszego referatu mocnych argumentów, któreby mogły zaważyć na przeprowadzeniu naszego projektu.

O 12-ej idziemy na posiedzenie, zgóry przewidując ostateczną decyzję. W sali konferencyjnej ciemno. Woźny zapala światło. Boże! Czyż wszystkie potęgi piekieł sprzysięgły się na nas. Wyobraźcie sobie, że żyrandol miał **trzy światła.** Powoli sala się zapełnia. Siadamy przy stole. Wszyscy (za wyjątkiem nas) są w dobrym nastroju i z zaciekawieniem wypytują się o nasz projekt. Zaczyna nam świtać iskierka nadziei. Po chwili Nepek zabiera głos i odczytuje referat. Wszyscy słuchają uważnie, kiwając z uznaniem głowami, gdy nagle spostrzegam **że jest nas przy stole trzynastu.** Nachylam się do Nepka i szepczę mu tę hiobową wiadomość. Nepek zmieszał się, zaczął się plątać w cyfrach, brak mu argumentów, w końcu usiadł i zaczął ocierać pot kroplisty, spływający mu po bladem czole.

Zarządzamy przerwę. Zapalamy papierosy przyczem spostrzegam poniewczasie, że **zapaliłem trzeci papierosa od jednej zapałki,** i to **papierosa,** którego wziąłem **ostatniego z papierośnicy Nepka.**

Docieramy do szczytu naszego niepowodzenia. Jestem o tem najmoralniej przekonany. Po krótkiej dyskusji idziemy wszyscy na obiad. W restauracji jakiś łotr kelner poukładał **widelce i noże na krzyż.** Tracimy momentalnie apetyt i z prawdziwą męką obserwujemy naszych współbiesiadników, którzy jedzą, aż im się uszy trzęsą. Wreszcie kończy się ta ponura (dla nas) uczta, wstajemy od stołu i zaczynamy sobie dziękować za towarzystwo, przyczem tak się składa, że z dwoma naszemi sąsiadami podajemy sobie **ręce na krzyż.**

Z błędnemi oczyma, z piekielnym bólem głowy wracamy na posiedzenie. Przy wyjściu z knajpy napastuje nas jakiś natrętny żebrak, któremu na odczepnego rzucam wygrzebanych w kieszonce od kamizelki pięć groszy. W ostatniej chwili spostrzegam, że natręt ma **złe oczy.** Pod urokiem tego makabrycznego spojrzenia wchodzę na salę posiedzeń, jak przez mgłę słyszę, że projekt nasz zostaje bezpowrotnie pogrzebany. Półprzytomny wychodzę na ulicę i zaczynam błąkać się bez celu. Po paru dopiero godzinach, zziębnięty, głodny, nieludzko zmordowany wracam do domu i widzę jak mój przyjaciel, śmiejąc się jak szaleniec nalewa sobie koniak do kieliszka.

— Człowieku! jesteś chory na serce! nie wolno ci pić alkoholu!

— Jeszcze tylko jeden kieliszek, to już będzie **ostatni.**

— **Przedostatni** — ryczę do niego wściekle— wydzierając mu butelkę z zaciśniętej dłoni. — Ostatni pije się przed samą śmiercią!

— Czy wiesz o tem, że lotnik nigdy się nie pozwoli fotografować przed odlotem, ponieważ to będzie jego ostatnia fotografja. Czy zdajesz sobie dokładnie sprawę z ponurej grozy słowa **ostatni!?**

Szamocząc się z Nepkiem, zauważyłem że na palcu błyszczy mu pierścionek z **opalem.** Ten kamień nieszczęścia towarzyszył nam cały dzień i był jedną z przyczyn naszych niepowodzeń.

Te wydarzenia, które, niezauważone przez nikogo, towarzyszą nam codziennie w naszej pracy, są najistotniejszą przyczyną, mającą wpływ na nasze życie. Nikt ich nie spostrzega, nikomu one nie przychodzą na myśl, a poniektóry wiedząc o nich, lekceważy je, płacąc potem własną skórą.

Życie byłoby niemożliwe, gdyby obok zła nie istniało trochę dobra. Są również dobrzy genjusze, którzy w pewnych wypadkach mogą nam przynieść korzyść. Umiejętne stosowanie ich zaklęć odwraca nieraz wiszące nad głową nieszczęście.

Chcąc mieć spokój w domu należy skrzętnie szukać **podkowy,** przyczem pod grozą nagłych a niespodziewanych tragedyj **przybija się ją nad drzwiami ramionami do dołu.** W przeciwnym bowiem wypadku szczęście ulatuje do góry. Szczęście i radość a czasami powodzenie w interesach finansowych przynosi **czterolistna koniczyna,** którą można najłatwiej znaleść **o północy przy rozstajnych drogach.**

Pragnąc mieć dobre pożycie małżeńskie należy jechać do ślubu **białemi końmi,** przyczem nigdy nie ofiarowywać swej żonie żadnych **ostrych przedmiotów,** w postaci noży, nożyczek, szpilek. Jednym z najlepszych sposobów osiągnięcia pomyślności życiowej (nagminnie używanych we Francji) jest **wdepnięcie** w pewne produkty, znajdujące się na ziemi, a stwierdzające uprzednią obecność w tem miejscu jakiegoś dwu lub czworonoga. Każdy szanujący się myśliwy przed polowaniem ogląda bardzo uważnie i szczegółowo **kolanka** pięknych dziewic, napotkanych po drodze. Zapewnia to obfitość zwierzyny. Unikać przytem należy **dziewczyny z pustemi wiadrami,** ponieważ przynoszą one kompletną jałowość przedsięwzięcia. Jeżeli dziewczyna ma złe oczy, należy za przykładem współczesnych Italów użyć renomowanego sposobu wysunięcia przed siebie dużego palca, przyczem dłoń musi być ściśnięta w pięść.

Wreszcie uniwersalnym sposobem, używanym przez rozsądnych ludzi jest pukanie w stół i powiedzenie **„na psa urok".** Sposób ten z punktu uniemożliwia działanie złych potęg i pozwala na doprowadzenie każdego projektu do celu.

Z. G.

Z półek księgarskich

Oceanem, Rzeką, Lądem. M. B. Lepeckiego.

Gorące tchnienie podzwrotnikowych krain, szum dziewiczych lasów, ryk dzikiego zwierza, plusk jednej z największych rzek świata, balsamicz na woń pampasów, namiętne tony upojnego tanga, rytm żmudnej pracy polskiego wychodźcy na dalekiej obczyźnie — oto przebogata treść najnowszej pracy dzielnego oficera - podróżnika, kapitana Lepeckiego. W swej nowej książce, wydanej nakładem Tow. Wydawniczego „Rój", autor odmalował pięknemi barwami swoją podróż do Argentyny, tej krainy pszenicy i stad bydła, gdzie człowiek znika na olbrzymim bogatym obszarze niezaludnionych przestrzeni, niczem ziarnko piasku na pustyni. Skojarzenie kontrastów pomiędzy miastami o wysokiej kulturze a wsią, a raczej dzikiem pustkowiem, łaknącem ręki rozumnego eksploratora, maluje się przed oczyma czytelnika z jasną wyrazistością i realizmem.

Książka ta opisuje dolę i niedolę polskiego emigranta, który kurczowo trzyma się „wiary ojców swoich", lecz znajdując bardzo mało pomocy ze strony polskich placówek konsularnych, szybko się wynaradawia. Dzieci zrodzone na obczyźnie są prawie zupełnie zargentynizowane i zapominają swojej ojczyzny.

Język powieści jędrny, żołnierski, przykuwa czytelnika od pierwszych kart książki aż do ostatnich. Jest to piękny film pisany, którego reżyserem było serce polskiego żołnierza, bolejącego nad rodakami, którymi się nikt nie opiekuje, a którzy są bezpowrotnie straceni dla kraju.

Książka ta powinna nietylko zdobić bibljotekę każdego Polaka, ale być również ziarnem koniecznej pomocy narodowej dla naszych rodaków z za morza.

Z. Grzybowski.

Sport w naturalnem wydaniu

Gry i zapasy Indjan. Kirgiska „bajga" i wyścigi konne.

Jeśli ludzie cywilizowani uprawiają sport — to kładziemy to na karb kultury fizycznej, na której temat ostatniemi czasy dużo się robi a i jeszcze więcej pisze.

Ale co powiesz Czytelniku, kiedy się dowiesz, że jakiś tam indjanin czy też kirgiz uprawia sport i to sport **par exellence** dla przyjemności — tak, dla własnej przyjemności i ambicji?

A więc nie nawoływanie do poprawy rasy pchnęło tych ludzi do uprawiania często karkołomnego, kończącego się śmiercią sportu ale prastary, drzemiący w duszy każdego prawdziwego mężczyzny instynkt walki i rywalizacji znalazł tu najwyraźniejsze zastosowanie!

Przykładem niechaj nam będą w pierwszym rzędzie Indjanie. Uprawiają oni na szeroką skalę rozpowszechnione gry piłkowe. Indjanie meksykańscy grają w piłkę opatrzoną piórkami — a która to gra ma napewno coś wspólnego z t. zw. „pełeką" — przeszczepioną i na nasz grunt przez naszych podróżników brazylijskich, kpt. Fularskiego i por. Zarychtę.

Szczep Uitoto, zamieszkujący północne dopływy Amazonki, grywa z powodzeniem kauczukowemi piłeczkami w palanta. Szczep Paressi w tropikalnej części Ameryki południowej uprawia pewien rodzaj gry w piłkę — której, reguły przewidują tylko grę głową! Pozatem słyną z gier w hokeja chilijscy Araukanowie oraz z biegów — meksykański szczep Tarahumara.

Zapasy, jeden z bardziej ciekawych sportów indyjskich — rozpowszechniły się najbardziej i po dziś dzień się utrzymują nad obszarami rzeki Araguayi — jednej z południowych dopływów Amazonki.

Walka polega na powaleniu przeciwnika na ziemię zapomocą silnego objęcia rękami nóg w kolanach.

Okres najżywszych walk to okres deszczowy, który utrudnia polowania i inne czynności dzikich szczepów.

Wyzwanie odbywa się przez ustawienie się przed przeciwnikiem z odpowiednim krzykiem oraz rozpoczęciem tańca wojennego. Wyzwany może wyzwanie przyjąć — nie straci jednak na honorze, jeśli odmówi.

Walka to bardzo ostra i często prowadzi do wypadków śmiertelnych, które w przeciwieństwie do innych zabójstw nie podlegają prawu zemsty. U niektórych szczepów zapasy są niejako rodzajem pozdrowienia. Gdy ktoś obcy przybywa do wsi, na powitanie musi odbyć walkę. Bez względu na jej wynik — udaje się zgodnie z którymś z gospodarzy do wsi. O nagrodach przy zapasach nie ma wcale mowy. Niektóre jednak szczepy z Chaco, grają o tytoń i różne świecidełka i błyskotki.

Pamiętają jednak o nagrodzie — którą zwykle bywa upragniony mężczyzna — niewiasty indyjskie z Chaco, które często boksem starają się zdobyć męża. Jako rękawic używają — skóry tapira — którą obwiązują sobie pięści. U indjan meksykańskich nagrody bywają często rozdzielane za bieg z tem, że wszyscy uczestnicy otrzymują upominki. Indjanie bowiem wychodzą z tego założenia, że jeśli tylko ktoś dobiegł do mety zasłużył na nagrodę bez względu na wynik.

A teraz nieco o kirgiskiej „tajdze" i wyścigach, które tak opisuje nasz rodak ś. p. generał Grąbczewski, doskonały znawca życia dzikich plemion azjatyckich.

„Bajga — to narodowa zabawa kirgiska: polega ona na tem, żeby z konia porwać leżącego na ziemi zabitego kozła, unieść go z tłumu ubiegających się współzawodników, odciągnąć ich od siedzących gdzieś na pagórku na dywanie sędziów i, zmyliwszy wszystkich, przycwałować z kozłem znów przed sędziów i rzucić im go pod nogi. Za taką sprawność zwycięzca otrzymuje natychmiastową nagrodę w postaci jaskrawego chałata, który w tej chwili wkłada na siebie na wierzch ubrania, żeby wszyscy zebrani widzieli, iż on jest zdobywcą i rozniešli to po stepie. Kozła zaś chwyta z konia nowy rywal, i szalona jazda przez kamienie i wyrwy, przy wzajemnem wyrywaniu sobie kozła przez innych współzawodników rozpoczyna się na nowo.

„Wyścigi u Kirgizów znane są tylko na długą metę, zwykle 40 kilometrów (5 tasz.). Urządzają je oni w czasie wesela, śmierci, albo obrzezania w rodzinach bardzo bogatych, gdyż kosztują drogo. W czasie, oznaczonym na wyścigi (przeważnie jesienią, kiedy konie są najsilniejsze) posyła się zawiadomienie do całego swego rodu i do rodów pokrewnych przez wzięte żony, albo oddane córki".

Sama organizacja wyścigów odbywa się mniej więcej w następujący sposób: W określonym czasie zjeżdżają się w pewne, z góry oznaczone okolice najlepsi jeźdźcy z najlepszemi biegunami. Rolę nowoczesnych żokejów spełniają mali chłopcy w wieku 12 — 14 lat. Konie kirgiskie wyglądają na oko bardzo marnie — posiadają jednak niezrównaną wytrzymałość.

Do wyścigu staje zazwyczaj kilkadziesiąt koni. Trasa wyścigu obstawiona jest przedstawicielami zamiłowanych w wyścigu rodów. Mają oni uważać, by nie zamieniano zmęczonych koni na świeże. Okoliczne wzgórza zajęte są przez kobiety, przybyłe konno dla zobaczenia wyścigów. Nie wolno się im jednak mieszać z tłumem mężczyzn.

Samo przybycie do mety tak opisuje autor „Kangarji":

„Wreszcie słychać okrzyki patrzących, tentent biegnących koni, i zjawia się pierwszy koń chwiejący się, zakrwawiony z jeźdźcem — malcem ledwie żywym. Bardzo często konia tego ciągną za powód od uzdeczki dwaj inni jeźdźcy, co nie jest zabronione przez prawidła wyścigowe".

Nagrody stanowią zawyczaj przedmioty codziennego użytku i inwentarz żywy. Ciekawe, że pierwszą nagrodę stanowi 9 różnych przedmiotów po 9 sztuk. A więc zwycięsca otrzymuje np. 9 chałatów, 9 wielbłądów, 9 koni, 9 psów i t. d.

Drugi i trzeci zwycięsca otrzymuje już tylko 9 różnych przedmiotów, zaś sześciu dalszych zwycięsców otrzymuje już tylko po 1 podarku.

Wyścigi takie są bardzo kosztowne i zazwyczaj doprowadzają urządzającego je do ruiny, gdyż wszelkie ich koszta i utrzymanie gości ponosi gospodarz.

Ale i dzisiaj tu u nas na miejscu w Warszawie, nie wyjeżdżając do Kangarji, i nikogo nie grzebiąc, nie chrząc i nie żeniąc — można się jednak spłukać do ostatniej nitki w totku na Mokotowie...

M. Kurleto.

Zwiedzić Wystawę w Poznaniu — to poznać całą Polskę współczesną.

ZA NAJLEPSZY TYTUŁ 1000 ZŁ. NAGRODY

Wydawnictwo „7 DNI" ogłaszając w druku poniższą, najnowszą i specjalnie dla nas napisaną powieść utalentowanego pisarza, p. Stanisława Strumph-Wojtkiewicza, pozostawia P. T. Czytelnikom znalezienie do niej najodpowiedniejszego tytułu i w tym celu ogłasza odpowiedni konkurs z nagrodą 1000 zł. W skład sądu konkursowego wchodzą pp.: Juljan Eysmond, Juljusz German, Wacław Grubiński, Marjan Hemar, Tadeusz Kończyc, Jan Piotrowski, oraz autor tej powieści.

STRESZCZENIE POPRZEDNICH ROZDZIAŁÓW

Hala Liwska ukończyła pensję. Wypadkowe spotkanie i początek flirtu z Arturem Zaliwskim, otwierają przed nią nowe horyzonty. Nić romansu nawiązana. Wtem, niespodziewanie, oświadcza się o Halę stary p. Woyno. Tego samego dnia — nowa „bomba" wybucha, bo oto kuzynek Staś, złapawszy Zaliwskiego, na gorącym uczynku pocałowania Hali, zdradza zachowaniem swem, że i on kocha dziewczynę, co jej zresztą nazajutrz wyznaje. Kochają ją... Papcio nalega, by Hala przyjęła propozycję Woyny. Hala coraz częściej przebywa w towarzystwie koleżanki Aliny, śmielej i nowoczesnej panny. Młode panny odwiedzają dawną koleżankę, Molińską, która prosto z pensji wyszła w świat... w półświatek. Po zerwaniu z Zaliwskim rozpoczyna flirt z nowym, młodym człowiekiem, aż wreszcie, zapoznawszy się z kłopotami finansowemi Zaliwskiego, pożycza od ojca większą kwotę pieniędzy, by móc go uratować. Zaliwski odnosi część pożyczonych pieniędzy. Znów powtarzają się dziwne konkury do Hali, w których jednak mowy niema o... miłości. Wiedziona instynktem Hala postanawia wyjechać i udaje się na wieś, do koleżanki Zośki, gdzie pierwszego już wieczora spotyka Reńskiego. Po kilku dniach pobytu, otrzymuje list z domu, pod wpływem którego postanawia wrócić na jeden dzień do Warszawy. Reński ofiarowuje jej swój samochód, w którym oboje wyruszają w podróż. W Warszawie rodzice robią Hali wymówki z powodu flirtu z Zaliwskim, a papcio dowiedziawszy się o konkurach Reńskiego oświadcza, że nigdy nie zgodzi się na to małżeństwo. Hala postanawia uciec z Czerniczek do domu. Niezatelegrafowawszy po konie Hala zwraca się do znajomego technika z pobliskiej gorzelni o pomoc. Ten korzystając z wieczora i padającego deszczu zamyka Halę na klucz w swoim pokoju i postanawia ją zdobyć.

(17)

I wtedy stanął pakt, formalny pakt, o którym Hala nie wspomniała już nigdy nawet sobie, postanowiwszy go zapomnieć jaknajrychlej. A jeśli Hala postanawiała coś zapomnieć — to zapominało się to rzeczywiście i najzupełniej. Pakt polegał na szeregu warunków.

A więc: fotografja Reńskiego będzie Hali zwrócona. Hala będzie wypuszczona cała i zdrowa zaraz zanim zrobi się widno i ludzie zaczną chodzić naokoło. O całej przygodzie ani mężczyzna ani Hala nie wspomną nikomu. Wszystko będzie wybaczone i wogóle utonie w niepamięci — i skandalu żadnego nie będzie — aby tylko Hala zechciała być przez chwilę dobrą dla niego — bodaj udała, że jest dobrą.

— Jakto? czego pan chce odemnie?

— Niech mi zostanie jasne wspomnienie po jaśnie pani.

— O podły, podły — buntowały się myśli Hali.

Ale że nie widziała innego wyjścia i wyczuła, że mówi rzetelną prawdę o swojem uczuciu dla niej, że wogóle była zmęczona, bezradna i biedna — więc pozwoliła — gdy już zupełnie inaczej przywarł do niej cały i dygotał.

— Jak Zaliwski — jak Zaliwski— o jakże wstrętni są mężczyźni.

Pomimo to w jej pozornej uległości, gotowej przy najmniejszym alarmie do obrony, wyraziła się odrobinka kobiecego przejęcia się chwilą, które widocznie chciał odczuć mężczyzna. Wyczuwała i ona jego ogromne wzburzenie i przez ułamek sekundy zamknąwszy oczy i zwarłszy się w sobie, choć pełna wewnętrznego protestu, tuliła się sama.

Blady i chwiejący się odprowadził ją do drzwi. Szczęknął zamek — fala świeżego powietrza uderzyła w płuca. Z za niechcikiego ogrodu wstawał pogodny świt. Nie żegnając się, z fotografją Reńskiego przy zmęczonej piersi, uciekła Hala z pola zwycięskiej bitwy.

— Niechże to licho — z takim zwycięstwem.

Powoli zbierała myśli. Daleko już, pod drzewem przydrożnem, przejrzała się w lusterku, poprawiła włosy, sukienkę, zmiętą bluzeczkę. Drogą znajomą kierowała się do Czerniczek. Na skrzyżowaniu usiadła, a że zobaczyła z daleka chłopa, więc ukryła się w krzakach przydrożnych. Przeczekawszy, wyszła znów, już przytomniejsza i bardziej wypoczęta.

— A jednak — dałam sobie radę! Nie każda by tak sobie poradziła! Ależ podły — podły! Wszyscy oni są podli! I Reński też!

W uniesieniu podarła fotografję. To wszystko przez Alinę! Ciekawe, czy Alina by się broniła w takiej okazji? Napewno nie...

Dzień słoneczny, świeży, radosny, był zupełnie niepodobny do wczorajszego, upiornego dnia. Na polach zieleniła się blada ruń. W górze podlatywały pierwsze, rozdzwonione skowronki. Idąc równym sprężystym krokiem, Hala szybko zobaczyła zabudowania w Czerniczkach. Teraz pomyślała, że jednak cały wypadek nie da się ukryć przed Zośką. Trzeba jej będzie — pod sekretem — opowiedzieć całe zdarzenie, zaczynając od wyjazdu z Warszawy. Inaczej Zośka, która jest sprytna i spostrzegawcza — czyta tyle romansów — domyśli się wszystkiego, albo — co gorsze — pomyśli coś jeszcze gorszego. Ale co powiedzieć o podróży z Reńskim? Hala wiedziała, że to przedewszystkiem będzie interesowało Zośkę. Ukryć trudno — Hala i teraz czerwieniła się na samą myśl o Reńskim. No — powie się Zośce — że Reński oświadczył się — i koniec.

— Bo przecież w grucie rzeczy to były oświadczyny — powiedział, żeby mu ufać, że wszystko będzie dobrze.

Wreszcie Hala stanęła na stopniach ganeczku, spojrzała raz jeszcze na śliczny ranek i wolno skierowała się do swojego pokoju. Drzwi były już otwarte. W stołowym pokoju stała na stole pusta butelka po winie obok talerzyków z mięsem. Hala coś zjadła pośpiesznie i stąpając na palcach skierowała się do swego pokoju. Uczuła w tej chwili wielką senność i zmęczenie. W cichym, śpiącym domu zapominało się o czarującej świeżości wiosennego poranka.

Jednak drzwi od gościnnego pokoju były zamknięte od wewnątrz. Hala na palcach przeszła do przedpokoju i cichutko wsunęła się do pokoju Zośki, myśląc, że wejdzie tędy do siebie. Jeśliby w gościnnym pokoju kto spał — może Władek Sokołowski — to Hala położy się z Zośką.

W półmroku sypialni stanęła nad łóżkiem koleżanki — ale łóżko było puste, choć rozrzucone. Hala zdziwiła się: dlaczegóż to Zośka poszła od siebie do pokoju gościnnego?

Drzwi następne były półotwarte. Już zdaleka dojrzała na poduszce czarną główkę Zośki. Podchodząc dalej na palcach oniemiała: na krześle i poręczy łóżka wisiały części męskiej garderoby. Obok Zośki spał mężczyzna. Męska dłoń spoczywała na biodrach Zośki. Duży sygnet, połyskujący w półmroku, był sygnetem pana Alojzego. Zresztą obok łóżka stały jego żółte buty, sławne z elegancji na całą okolicę.

Hala stała w zdrętwieniu wszystkich członków, bezradnie opuściwszy ręce. To co widziała, było zarazem piękne i brzydkie. Przecież Zośka ma narzeczonego! A jakże ona może! W gruncie rzeczy — podłość! A może on ją uwiódł?

Nie mogąc oderwać wzroku od śpiących, Hala cichutko się wycofywała. Zauważyła — że są przytuleni do siebie.

— Co oni wyrabiają — co oni wyrabiają! — myślała z żalem Hala. — Czy nic innego niema na świecie — tylko jedno *to?* Gdziekolwiek spojrzeć — z kimkolwiek się spotkać — zaraz okazuje się, że wszystkim — i mężczyznom i kobietom — chodzi tylko o *to.* Dlaczegóż w takim razie tyle wszyscy mówią o moralności? Przecież to jest zupełnie inny świat — niż ten, o którym mówił Hali papcio.

Ale w takim razie — nie wolno gardzić wszystkimi... Trzeba rozumieć i Zośkę, i Alinę i Molińską... Nie wolno mieć pretensji do Zaliwskiego i Reńskiego i tego gburowatego technika z gorzelni. Widocznie kobiety stworzone są na to, żeby mężczyźni je zdobywali dla siebie. Z drugiej strony — taka Alina chlubi się również każdą swoją nową konkietą. Hala uczuła, że jest strasznie daleka od świata, do którego przecież należała.

Poprostu świat się zmienił. Za czasów papcia mężczyźni chcieli mieć kobiety skromne. Dziś... aha — Zośka mówiła, że lubi pana Alojzego, bo jest skromny, skromniejszy od pana Władka. No tak — więc dziś kobiety chcą mieć skromnych mężczyzn. Taka Alina naprzykład— odrazu zabrała się do kuzynka Stasia.

— Ale co ja, co ja mam wśród nich robić?

Żeby wygodniej myśleć Hala przylgnęła mokrą twarzyczką do poduszki. Zapomniawszy na chwilę o śpiących w sąsiednim pokoju, zaczęła projektować, że jednak poprosi papcia o pozwolenie i wyjedzie do Szwajcarji, do Anny Steyr — i do jej brata. Anna Steyr nauczy Halę żyć tak, żeby była daleka od wszelkich złych myśli i złych pokus.

— Bo jeśli będę tu dłużej, to poprostu się przyzwyczaję do tego wszystkiego... i kto wie, co się ze mną stanie. A najlepiej było wyjść zamąż za starego Woynę i koniec. Nie byłoby się samą i miałoby się opiekę człowieka starszego. Ci dzisiejsi młodzi — nie dla mnie.

Hala już usypiała, gdy w sąsiednim pokoju odezwał się głos Zośki. Hala posłuchała chwi-

lę i, zażenowana pospiesznie wstała i wyszła na ganeczek. Tam spotkała swe duże psy i jak zwykle, pod ich eskortą, poszła do źrebaków, cieląt i stajni. Traf chciał, że stajenny ją zatrzymał.

— Proszę panienki, przepraszam, ale tam dalej nie można. To nie dla panienki.

Za stajnią słychać było rechoty parobków i rżenie ogierów.

Hala roześmiała się nerwowo: Trzeba życie brać takie — jakie jest.

XI.

Hala leżała kilka dni w łóżku, rozbita i obezwładniona wzruszeniami feralnego dnia. Zośka spędzała całe dnie przy niej, czytając głośno lub rozmawiając. W otwarte okna wpływały smugi wiosennej, słonecznej radości. Było cicho i nudno. Hala powoli zwierzyła Zośce wszystkie swoje sprawy. Zośka kiwała głową ze zrozumieniem, słuchając historji flirtu z Zaliwskim, oświadczyn Reńskiego i napaści w Niechcicach. Jej sąd był następujący:

— Halu — nie gniewaj się na mnie — ale ty jesteś nie dzisiejsza. Musisz sobie wyraźnie powiedzieć, czego chcesz — czy być taką, jak wszystkie dziś są, czy też czekać poczciwie na jedynego męża. Cóżeś zrobiła — pomyśl — z tą swoją naiwnością i dobrocią? Kompromitowałaś się z Zaliwskim, omal nie dałaś się uwieść Reńskiemu — bo jemu ani w głowie żenić się z tobą, wreszcie wpadasz z tym kretynem w Niechcicach. Nie wolno być tak łatwowierną i naiwną i poprostu samej wchodzić w łapy mężczyźnie. Jeśli chcesz być panienką staromodną, to uważaj na siebie. Jeśli chcesz żyć — to wybieraj sobie świadomie męża, narzeczonego, kochanka — ale nie bądź marjonetką, kukłą.

— Już nie będę, już będę mądra — zobaczysz.

Halę boleśnie interesowała sprawa Reńskiego.

— Zośka, ty naprawdę myślisz, że on tylko tak...

— Napewno Halu, już ja go znam.

W tem zapewnieniu Zośki brzmiało coś niedopowiedzianego.

Zośkę interesowała natomiast inna sprawa.

— I wtedy, kiedy rano przyszłaś tu — dlaczego nie przyszłaś zaraz do mnie.

Patrzyła z niepokojem na Halę.

Hala zaczerwieniła się.

— Ładnie na dworze było — wiesz.

— I nie wchodziłaś tu?

— Nie, Zośka.

— A kto zostawił na mojem łóżku torebkę?

Nastało kłopotliwe milczenie.

Zośka odłożyła „Siedem Sióstr" i nie patrząc na Halę powiedziała:

— Widzisz — to czuje się, że my z tobą przyjaźnimy się naprawdę. Muszę ci to wszystko wytłumaczyć.

— Czy można — zapytał z za drzwi głos Alojzego.

— Nie, nie można teraz — odpowiedziała gniewnie Zośka.

Administrator poszedł w głąb mieszkania. Zośka spojrzała badawczo na Halę: — Uczę go francuskiego, wiesz — jest bardzo zdolny.

A że Hala milczała, więc Zośka spytała po chwili, niby lekko:

— Przyznaj się, zaglądałaś wtedy.

— To ty przyznaj się — odparła naiwnie Hala. Uśmiechnęły się obie do sytuacji.

Zośka usiadła bliżej.

— Słuchaj Halu. Więc po skończeniu pensji...

Umilkła.

— Zośka, daj pokój. Lepiej nie mówić.

— Nie, muszę ci powiedzieć — żebyś nie myślała o mnie źle. Zaręczyłam się z Władkiem. Miał skończyć uniwersytet za pół roku i mieliśmy się zaraz pobrać. Nie kochałam go zanadto, ale napewno pokochałabym bardzo mocno. Byłam gotowa być dla niego wszystkiem — no ale byłam jeszcze dość głupia — i.

— I słuchaj. Pojechaliśmy do jego rodziców, w poznańskie. Ja już ich znałam, bo przyjeżdżali do nas — i jechałam pierwszy raz do nich. Miałam na sobie liljowy płaszczyk i srebrne pantofelki tam u nich — i strasznie się im podobałam. I byłam strasznie dumna, bo wtedy już uważałam się za żonę, za własność Władka. Bo powiedział mi w wagonie, że jestem *już* jego żoną.

— Zaliwski mi też raz tak powiedział — i choć go nie kochałam — ale to strasznie przyjemnie — być nazwaną żoną—przyznała Hala.

— Ale widzisz — Halu — on nietylko nazwał żoną — ale poprostu — uczynił mnie żoną. Jechaliśmy w sleepingu, żeby się nie męczyć — no i zaszła scena — taka — jak — twoja. Tylko, że miał być wkrótce ślub i przestałam się opierać, bo przecież mówił, że powinnam mu zupełnie ufać — i zaufałam.

Nastało ciężkie milczenie. Zośka jakby niechcący przetarła oczy i spojrzała w okna, tchnące wiosną. Uśmiechnęła się blado.

— I co—Zośka—pytała nieśmiało Hala.

— I — i — osioł — nie skończył — oblał się na egzaminie. Ślub musiał być odłożony. Tymczasem zbliżyłam się z nim, poznałam lepiej i nabrałam troszkę niechęci do jego niektórych cech. I wiesz Hala — zawsze się ma jednak pretensję do mężczyzny, który... A najgorsze — że zdradzał mnie! Ordynarnie! głupio! wszędzie! Nie chciałam z początku wierzyć, później nie chciałam badać tych rzeczy, bo zresztą straciłam już serce.

(D. c. n.).

Cuda techniki policyjnej

EKSPERTYZA DOKUMENTÓW

Nie odrazu technika policyjna w dziedzinie ekspertyzy graficznej stanęła na wysokości zadania. Jeszcze w okresie słynnego procesu kapitana Drejfusa znajdowała się w powijakach — a sam wielki Bertillon z całą stanowczością i uporem bronił bezpodstawnego oskarżenia, opartego na źle dokonanem badaniu słynnego „bordereau". Dziś jednak, po zastosowaniu świetnych metod uczonych tej miary, co Dennstedt, Voigtlaender, Paul, Popp (Niemcy), Frazer, Osborne (St. Zjedn.) i Reiss (Szwajcarja), świadectwo sądowych ekspertów graficznych w tysiącach wypadków staje się druzgocącym i pewnym argumentem oskarżenia.

Pierwsze i największe zwycięstwa odniesiono w dziedzinie t. zw. wydrapań i dopisków, posiłkując się mikroskopem, aparatem fotograficznym, a w niektórych wypadkach również pewnemi chemikaljami. Przykład następujący najlepiej pouczy nas o metodzie tych badań.

Pewien niższy oficer marynarki, dążąc do zdobycia majątku za wszelką cenę, postanowił poślubić jakąś bogatą i mocno przejrzałą damulkę o czułem serduszku, namówić ją do uczynienia zapisu na swoją korzyść, aby, owdowiawszy, móc swobodnie używać roskoszy życia doczesnego. Zastrzec się musimy na wstępie, że nasz wilk morski nie miał bynajmniej żadnych zbrodniczych zamiarów — wierzył tylko w swą długowieczność, a żonę sobie dobrał też odpowiednią: o trzydzieści lat starszą od siebie i tak chorowitą, że lekarze przepowiadali jej nie więcej nad kilka miesięcy życia. Oczarowana urodą i galanterją swego męża, już w kilka dni po ślubie uczyniła go swym wyłącznym spadkobiercą. Wszystko układało się zatem w myśl pragnień marynarza— czas jednak mijał, poczciwa staruszka, miast zejść grzecznie ze świata, z dniem każdym nabierała coraz więcej ochoty do życia, zamęczając swego małżonka natrętnemi pieszczotami. Próżno walczył ze sobą wilk morski — jak się okazało przeliczył się, biedaczysko, z siłami! Dał też dnia pewnego za wygraną, wyrzekł się cudownych miraży na przyszłość i czmychnął, gdzie pieprz rośnie.

Działo się to w 1911 roku—w rok później porzucona w ten sposób małżonka uzyskała rozwód na podstawie „złośliwego opuszczenia", poczem, po siedmiu latach samotnego żywota, zeszła ze świata. Dowiedziawszy się o tem, marynarz przedstawił sądowi testament, w którym staruszka zapisywała mu cały swój znaczny majątek. Testament ten wydał się władzom podejrzany — poddano go więc odpowiednim badaniom, które zaprowadziły przedsiębiorczego marynarza na ławę oskarżonych.

Testament nosił datę 1917 r. Jednak już na pierwszy rzut oka było widoczne, że ostatnia cyfra była przerobiona. Badania przy pomocy mikroskopu wykazały, że na miejscu siódemki była początkowo czwórka. Jednocześnie jednak zauważono, że i ta czwórka jest podejrzanego pochodzenia. Sfotografowano więc testament przy pomocy aparatu mikrofotograficznego, przyczem ustawiono dokument w ten sposób, że objektyw jego obejmował wyłącznie powierzchnię atramentu, dzięki czemu odkryto trzy płaszczyzny atramentowe jedna na drugiej: jedynkę, linje zmieniające ją na czwórkę, wreszcie linje, przekształcające ją z kolei w siódemkę.

Przyparty do muru marynarz zeznał, iż istotnie dopuścił się dwukrotnie fałszerstwa. Do sądu przyszedł z testamentem oryginalnym, noszącym datę 1911 r. Nim jednak zdążył go przedstawić, dowiedział się od pewnego notarjusza, że sąd jest w posiadaniu późniejszego testamentu staruszki z datą 1913 r. Nie namyślając się wiele przerobił marynarz w pobliskiej kawiarni datę swego testamentu, postarzając ją o trzy lata — lecz po powrocie do sądu dowiedział się o istnieniu nowego testamentu staruszki, anulującego wszystkie poprzednie i noszącego datę 1916 r. Zakląwszy siarczyście, wrócił nasz marynarz do kawiarni i tem samem piórem poprawił raz jeszcze dokument, który miał mu przynieść majątek, a przyniósł... surową karę więzienną.

Najpospolitszym sposobem fałszowania dokumentów jest wydrapywanie zdań, słów, liter, cyfr, lub ich części. A oto dzięki jakiemu przypadkowi pewien fotograf berliński odkrył metodę walki z tem fałszerstwem.

Dnia pewnego stanęła przed jego objektywem jakaś niezwykle piękna klientka. Zachwycony jej urodą, olśniony zwłaszcza niezwykłą czystością jej cery, dokonał fotograf kilku zdjęć w różnych pozach i oświetleniach. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu po wywołaniu klisz zauważył, że na każdej z nich twarz cudnej klientki jest upstrzona jakiemiś ciemnemi plamami. Zaprosił ją więc na nowy seans. Stawiła się na zaproszenie dopiero po kilkunastu tygodniach — i zmieniona nie do poznania. Jak się okazało, zaraz po powrocie od fotografa zapadła na ospę, która zeszpeciła ją w sposób straszliwy. Stwierdzono przytem, że owe tajemnicze plamy na kliszach były śladami oddziaływania choroby na tkanki twarzy — śladami wówczas jeszcze niewidocznemi dla oka, lecz odbitemi przez czułą błonę fotograficzną. Tak powstała „fotografja niewidzialnego", która miała z czasem oddać wiele usług technice policyjnej.

Są zresztą inne sposoby odkrycia wydrapywań. Wystarczy np. w tym celu strząsnąć na papier w pobliżu miejsca podejrzanego kroplę benzyny. Kropla ta, wsiąkając w papier, rozszerza się — lecz, zetknąwszy się z miejscem wydrapanem, omija je, okrąża i zalewa je dopiero po pewnym czasie.

Lecz wszystko to jest fraszką wobec szczytu techniki policyjnej, jakim jest bezwątpienia dokładne odtworzenie tekstu wydrapanego. I w tym wypadku zmuszeni jesteśmy zastąpić naszą źrenicę przez objektyw i kliszę fotograficzną. Pozatem pewne kwasy posiadają zdolność wywoływania pozornie nieistniejących śladów atramentu. Trudniej odtworzyć wytarte ślady rękopisu, skreślonego ołówkiem. Lecz zdarza się dość często, że silnie oświetlając pod kątem bardzo ostrym zewnętrzną stronę takiego dokumentu otrzymujemy na fotografji dość wyraźne zarysy liter, powstałych w formie płaskorzeźby dzięki naciskowi ołówka.

Zdarza się, że dokument jest sfałszowany przez dopisanie jakiejś litery, cyfry, lub słowa. Najłatwiej wykryć to fałszerstwo przez porównanie składu chemicznego atramentów. Czasami też stosuje się i tu mikrofotografję, jak np. w wypadku pewnego fałszerza, który wartość czeku, opiewającego na sumę 1.000 fr., podniósł do sumy 11.000. Jak udowodniła klisza fotograficzna, linja prostopadła pierwszej jedynki łączyła się z linją pochyłą drugiej, przyczem znajdowała się na niej, a nie pod nią, co musiałoby mieć miejsce, gdyby cyfry te zostały wypisane w swej normalnej kolejności.

Dość często policja techniczna ma do czynienia z dokumentami, sfałszowanemi t. zw. systemem kalkowym. Wykwalifikowani fałszerze używają w tym celu specjalnego pochyłego pulpitu szklanego, oświetlonego silną żarówką od spodu. Kładą nań dokument do skopjowania, przykryty czystym arkuszem papieru. Tylko partacze zdejmują „kalki", opierając dokument na szybie okiennej i otrzymując dzięki kreśleniu w niewygodnej pozycji kopje o linjach drżących, mocno podejrzanych nawet bez oglądania ich przez mikroskop.

Zdarza się nadzwyczaj rzadko, aby fałszerz miał do rozporządzenia dokładny model do skalkowania. Najczęściej „pracę" swą rozpocząć musi właśnie od przygotowania takiego modelu. W tym celu zdobywa możliwie największą ilość autografów osoby, której pismo zamierza podrobić — z autografów tych wybiera i wycina potrzebne zdania, słowa, a nawet poszczególne litery (podobnie postępowaliśmy tworząc nasze „opowiadanie wycinankowe" na temat przygód p. Marji i p. Antoniego, umieszczone w jednym z poprzednich numerów „7 DNI"). Po dyskretnym retuszu model zostaje odfotografowany, kalka zaś zdjęta z odbitki fotograficznej.

Rzecz prosta, że i w ten sposób fałszerstwo z łatwością może być wykryte przez zdolnego technika policyjnego. Do wykrycia najczęściej prowadzi jedno słowo lub jedna litera, kilkakrotnie powtarzająca się w dokumencie sfałszowanym. Przypuśćmy np. że fałszerz w dokumencie swoim musiał użyć kilkakrotnie dużego „B", w oryginałach zaś posiadał je tylko w jednym egzemplarzu, dzięki czemu wszystkie cztery „B" na jego kalce wyglądają, jakgdyby je wycięto z szablonu.

Na zakończenie, w formie pociechy dla wszystkich ludzi uczciwych, a groźnego ostrzeżenia dla innych, podamy za jednym z dzienników paryskich charakterystyczny przykład nadzwyczajnych wyników, do jakich dochodzi technika policyjna przy ekspertyzie dokumentów.

Francuski agent policyjny, śledzący od dłuższego czasu pewnego opryszka międzynarodowego, podejrzanego o udział w wielkiej kradzieży brylantów, siedział w pobliżu niego w kawiarni, gdy jego pacjentowi wręczono jakiś list, który musiał zawierać ważne wiadomości, skoro po przeczytaniu opryszek pobladł i, zapominając o zapłaceniu rachunku, skoczył ku drzwiom.

„List ten muszę zdobyć za wszelką cenę!" — postanowił agent i pobiegł za złoczyńcą, który już wsiadał do taksówki. Jednym skokiem dzielny funkcjonarjusz policji wpadł za nim do samochodu i, zatrzaskując drzwiczki, rzucił kierowcy rozkaz:

„Do Prefektury!"

Lecz widocznie opryszka karmiono szpakami zamłodu. Widząc partję przegraną, z błyskawiczną szybkością wydobył list świeżo otrzymany, rozerwał kartkę na dwie części i zanim ajent zdążył temu przeszkodzić, połknął zapisaną ćwiartkę papieru. Druga połowa tej ćwiartki padła u stóp agenta. Podniósł ją skwapliwie, lecz skrzywił się natychmiast na widok jej dziewiczej bieli. Szyderczy śmiech aresztowanego przywołał go do przytomności.

— Najlepiej śmieje się ten, kto się śmieje ostatni — powiedział spokojnie i schował biały arkusik do portfelu.

Po odstawieniu opryszka do Prefektury Policji, agent nasz udał się do laboratorjum, skąd po niespełna dwuch godzinach wyszedł z uśmiechem triumfu na ustach. Jak się okazało, zapisana połówka arkusika, pozostając w dłuższym kontakcie z drugą połówką, przesyciła ją składnikami atramentu. Po umiejętnem zastosowaniu pewnych kwasów otrzymał agent niejasny negatyw połkniętego listu, który po specjalnem odfotografowaniu z łatwością został odczytany.

Można sobie wyobrazić zdumioną minę opryszka, gdy mu nazajutrz sędzia śledczy przedstawił dokładną kopję fatalnego listu, na którego podstawie aresztowano sześciu pozostałych członków bandy. Instyktownie pomacał się w okolicy żołądka, jakby oskarżając swój organ trawienia o zdradę...

— To cud chyba! — wybełkotał.

Tak! Był to jeden z wielu cudów współczesnej techniki policyjnej, do której powrócimy jeszcze na tem miejscu. (p.)

SIEDEM DNI NASZEGO CZYTELNIKA

KALENDARZYK TYGODNIOWY.

26 N. Filipa i Nereusza.
27 P. Bedy.
28 W. Augustyna.
29 Ś. Teodozji.
30 C. Boże Ciało.
31 P. Anieli.
Czerwiec.
1 S. Jakuba.

KALENDARZYK ASTRONOMICZNY

Słońce		Księżyc	
w.	z.	w.	z.
3.29	19.36	23.26	5.15
3.28	19.37	0.0	6.8
3.27	19.39	0.7	7.10
3.25	19.41	0.31	8.21
3.24	19.42	0.57	9.35
3.23	19.44	1.15	10.51
3.22	19.45	1.30	12.8

KALENDARZYK SPORTOWY

28.V. Początek rozgrywek tenisowych o mistrzostwo Warszawy z udziałem Hughesa oraz drużyny fińskiej.

26.V. Bieg „Kurjera Poznańskiego".

1.VI. Początek międzynarodowych zawodów konnych w Warszawie przy udziale 10 narodowości.

1.VI. Początek trójmeczu lekkoatletycznego Polska-Estonja-Łotwa w Rydze.

26.V. Pierwszy krok łucznicy panów na torze łosenym w Warszawie.

26.V. Zawody otwarcia na torze na Dynasach.

26.V. Bieg kolarski „Expresu Porannego" na 105 km.

MENU TYGODNIOWE.

Niedziela. Rosół w filiżankach, kulebiak z mięsem, cielęca pieczeń szpikowana, sałata ze śmietaną. Szparagi, sos holenderski. Sałata z pomarańcz.

Poniedziałek. Zupa fasolowa z grzankami. Nóżki cielęce nemałane, szpinak. Wafle z kremem naciąganym.

Wtorek. Barszcz czysty, kartofle ze słoninką, fileciki na grzankach, sos pomidorowy, kompot z rumbarbarum.

Środa. Zupa z główki cielęcej, groszek płyskowy. Sznycle wieprzowe, puree kartoflane, mus żurawinowy.

Czwartek. Zupa szparagowa, zrazy zawijane z czarną kaszą. Szarlotka z rumbarbarum.

Piątek. Zupa rakowa na smaku z jarzyn. Kabeljau smażony, sałata z oliwą, cytryna. Budyń ryżowy, sos śmietankowy.

Sobota. Kluseczki lane na mleku. Kotlety cielęce siekane, młoda marchewka. Płysie z konfiturami.

ZUPA RAKOWA.

Gotować ją można na każdym rosole, najsmaczniejsza jest na rosole z kury. Na sześć talerzy dwa litry rosołu. Mendel dużych raków (małych dwa mendle), ugotować w osolonej wodzie z koperkiem i cebulą. Raki oczyścić, szyjki zachować, grzbietowe skorupki także, wnętrzności (po odrzuceniu czarnego pęcherzyka i białych kiszeczek), mięso z łapek, trochę kury lub cielęciny, jedno jajko, trochę koperku, łyżkę masła i bułeczkę wymoczoną w mleku, usiekać i nadziać tem skorupki grzbietowe. Resztę skorupek utłuc jaknajdrobniej i smażyć na ogniu z 30 deka najlepszego masła. Po chwili dolewać potrochu tłustego rosołu, czerwone masło spływające na wierzch, przelewać przez sitko do innego rondelka. Smak przecedzić przez to samo sitko do reszty rosołu, przed podaniem zaprawić zupę łyżką mąki i dużą szklanką śmietany. Wlać oddzielnie zebrane masło, dodać zielonego koperku, szyjki rakowe i oddzielnie ugotowane skorupki. Zupę zagrzać tylko mocno, nie gotując więcej, gdyż kolor straci. Można kto lubi, dodać dziesięć deka ugotowanego oddzielnie na sypko ryżu.

CZEGO SŁUCHAĆ PRZEZ RADJO?

W DZIALE MUZYCZNYM:

Niedziela, dn. 26.V. godz. 11.30. Transmisja z Poznania nabożeństwa oraz uroczystości Walnego Zjazdu Rolników z udziałem p. Prezydenta Rzeczypospolitej. Godz. 20.30. Koncert popularny. Wykonawcy: Zespół smyczkowy — Juljan Hoffman — tenor, Andrzej Kalinowski — klarnet oraz prof. Jerzy Lefeld (akomp.).

Poniedziałek, dn. 27.V. godz. 20.30. Transmisja międzynarodowego koncertu z Pragi do Warszawy, Wiednia, Berlina i Budapesztu.

Wtorek, dn. 28.V. godz. 20.15. Transmisja festiwalu muzyki polskiej z Poznania. Wykonawcy: orkiestra Filharmonji Warszawskiej pod dyr. Jerzego Fitelberga oraz Artur Rubinstein — fortepian.

Środa, dn. 29.V. godz. 17.55. Koncert orkiestry Jana Króżewicza. Godz. 20.15. Transmisja festiwalu muzyki polskiej z Poznania z udziałem solistów: Pawła Kochańskiego — skrzypce i Stanisławy Szymanowskiej — śpiew.

Czwartek, 30.V. godz. 12.10. Transmisja poranku Filharmonji Warszawskiej, poświęconego muzyce współczesnej. Udział biorą: Róża Bezazłowa — fortepian, Wacław Kochański — skrzypce, Paweł Lewicki — fortepian, Jerzy Lefeld — fortepian. O godz. 20.30. Koncert muzyki operowej, o godz. 16.00. Transmisja muzyki lekkiej z teatru Ateneum w wykonaniu Warszawskiej Orkiestry Filharmonji Ludowej. W programie perły muzyki operetkowej kompozytorów francuskich i wiedeńskich.

Piątek, dn. 31.V. godz. 20.30. Koncert symfoniczny poświęcony muzyce francuskiej z udziałem Lidji Kmitowej — skrzypce.

Sobota, dn. 1.VI. godz. 20.30. Pierwsza transmisja koncertu z Doliny Szwajcarskiej organizowanego przez orkiestrę Filharmonji Warszawskiej wespół z Polskiem Radjo.

TEATR

TEATR NARODOWY *Radziwiłł Panie Kochanku* Komedja J. I. Kraszewskiego

TEATR LETNI *Zakład o miłość* Komedja w 3-ch aktach Gustaw Beylina.

TEATR POLSKI *Rozum i głupstwo* Komedja w 3-ch aktach W. Perzyńskiego

TEATR MAŁY *Miłość bez grosza* Komedja Stefana Kiedrzyńskiego

MORSKIE OKO *Warszawa w kwiatach* Rewja w 20 obrazach

TEATR STANISŁAWSKIEGO w gm. Teatru Wodewil dn. 23 b. m. *Bracia Karamazowy;* dn. 24 b. m. *Wiśniowy Sad;* dn. 25 b. m. po poł. *Na dnie,* wieczorem *Potęga ciemnoty;* dn. 26 b. m. po poł. *Bieda nie hańbi,* wieczorem *Żenił'ba.*

KINO

Wodewil: Od dn. 27 b. m. „Złota pantera" z Jacqueline Logan, reżyserja Ceerla de Mile.

Stylowy: „Gołębica" z Normą Talmadge.

Quo Vadis i Światowid: „Łódź podwodna S 44".

Filharmonja: „Chcę się żenić" z Colleen Moore.

Colosseum: „Pustynia w płomieniach" z Laurą Orchini i Umberto Valentino.

Pan: „Miłość Szopena" z Zajączkowską.

Capitol: „Atlantyda".

„Z ZA KULIS REWJI DOBROCZYNNEJ"

Pani Jadwiga Kiewnarska (Well), autorka feljetonu, który pod powyższym tytułem ukazał się w ostatnim numerze „7 DNI", prosi nas o zaznaczenie, że feljeton ten nie dotyczył „Towarzystwa Pomocy dla Inteligencji". *(Red.).*

ROZKŁAD JAZDY POCIĄGÓW (OBOWIĄZUJE OD DN. 15 MAJA 1929 R.)

Z DWORCA GŁÓWNEGO

odchodzą:

do Paryża **11.20** Lux poniedz., środy i piątki, **21.50**.
do Berlina **11.20** Lux poniedz., środy i piątki **20.35**, **21.50**, **8.50** (specjalne dwa wagony).
do Wiednia **14.50**, **19.30**.
do Karlsbadu i Marjenbadu **14.50**.
do Rzymu **14.50**.
do Budapesztu **22.45**.
do Bukaresztu **9.20**, **23.25**.
do Moskwy **8.30** (lub z dworca Gdańskiego **8.48**).
do Wilna i Rygi **23.55**, **8.30** (z przesiadaniem w Białymstoku; osob. p. dw. Wileński).
do Gdańska przez Toruń 7.40, **8.50**, 12.20.
do Gdańska przez Mławę 20.40 (lub z dw. Gdańskiego 21.02), **23.45** (lub z dw. Gdańskiego **0.02**).
do Gdyni przez Mławę 20.40 (lub z dw. Gdańskiego 21.02), **23.45** (lub z dw. Gdańskiego **0.02**).
do Gdyni przez Toruń **8.50**, **19.20**.
do Helu 8.50 przez Toruń, 20.40 (lub z dw. Gdańskiego 21.02 przez Mławę).
do Ciechocinka wagony bezpośr. 7.40, 15.30, 23.40.
do Poznania przez Strzałkowo **11.20** Lux poniedz., środy i piątki, 14.10, **17.25**, **21.50**, 23.10 z wag. syp. I, II i III kl.
do Poznania przez Toruń **23.10**.
do Poznania przez Kalisz 7.20 przesiadanie w Łodzi kal., 9.00, 18.05, **20.35**.
do Lwowa **9.20**, **23.25** (osobowe p. dw. Wschodni).
do Truskawca **23.25**.
do Jaremcza i Worochty **23.25**.
do Zdołbunowa **22.40** (lub z dw. Gdańskiego **23.58**).
do Pińska i Łunińca (patrz dw. Wschodni).
do Katowic 0.45, 7.30, 10.05, **14.50**, **15.05** z przes. w Sosnowcu, **19.30**, 21.40, 22.55.
do Krakowa 7.30, **15.05**, **20.45**, (uzdrowiskowy), 21.40, **22.45**.
do Zakopanego, Krynicy, Rabki i Rymanowa **20.45**.
do Sandomierza i Dębicy 0.30.
do Łodzi fabr. 13.25, **18.20**.
do Łodzi kal. 7.20, 9.00, 18.05, **20.35**, 22.10.
do Żywca 22.55.
do Częstochowy (spec.) 0.45.
do Bielska **19.30**.
do Inowrocławia 7.40.
do Płocka (bez przesiad.) 14.10.

NA DWORZEC GŁÓWNY

przychodzą:

z Paryża **7.32**, **18.55** Lux w poniedziałki, środy i piątki.
z Berlina **7.32**, **8.55**, **18.55** Lux poniedziałki, środy i piątki, **20.32**.
z Wiednia **7.50**, **15.04**.
z Karlsbadu i Marjenbadu **15.04**.
z Rzymu **15.04**.
z Budapesztu **7.50**.
z Bukaresztu **8.28**, **20.14**.
z Moskwy **18.41**.
z Wilna i Rygi **6.53**, **18.41**.
z Gdańska przez Toruń 9.50, 20.16, **20.32**.
z Gdańska przez Mławę 7.10, 10.10, (lub na dw. Gdański **6.53** i 9.54).
z Gdyni przez Mławę **7.10**, 10.10 lub na dw. Gdański **6.53** i 9.54).
z Helu przez Mławę 10.10 (lub na dw. Gdański 9.54), lub przez Toruń **20.32**.
z Ciechocinka wagony bezpośr. 6.00, 14.45, 20.16.
z Poznania przez Strzałkowo 5.40 z wagonami syp. I, II i III kl., **7.32**, **18.55** Lux poniedz., środy i piątki **22.28**, 23.12.
z Poznania przez Toruń **6.32**.
z Poznania przez Kalisz **8.55**, 11.00 i 17.10.
ze Lwowa **8.28** i **20.14** (osob. patrz dw. Wschodni).
z Truskawca **8.28**.
z Jaremcza i Worochty **8.28**.
ze Zdołbunowa **8.08** (lub na dw. Gdański **7.50**).
z Pińska i Łunińca (patrz dw. Wschodni).
z Katowic 6.50, **7.50**, 9.20, **15.04**, 17.50, 20.00 **21.16**.
z Krakowa 5.03, **8.00**, **9.32**, 17.53 **21.16**.
z Zakopanego, Krynicy, Rabki i Rymanowa **9.32**.
z Sandomierza i Dębicy 5.32.
z Łodzi fabr. **10.05** i 21.45.
z Łodzi kalis. 6.16, **8.55**, 11.00, 17.10 **18.58**.
z Żywca 6.50, 20.00.
z Częstochowy 0.35.
z Bielska **7.58**.
z Inowrocławia 20.16.
z Płocka 20.16.

DWORZEC WSCHODNI

odchodzą:

do Katowic przez Dęblin 0.25.
do Krakowa przez Dęblin 15.10.
do Radomia 0.25.
do Lwowa przez Bełżec 15.10, 20.35.
do Lublina 0.25, 15.10, 20.35, 23.55 (przez Siedlce i Łuków!!).
do Pińska i Łunińca 9.50, 1.00.
do Sarn 21.10 (przez Siedlce i Brześć).
do Łucka i Zdołbunowa 7.55 (w Dęblinie przesiad. na pośp. w Lublinie na osobowy), 21.10.
do Białowieży 22.15.
do Stołbców 1.00.
do Siedlec 1.00, 6.35, 9.50, 10.30, 13.00, 16.35, 21.10, 22.15, 23.55.
do Mińska Maz. 8.25, 8.55, świąt., 9.30, 11.40, 14.25, 15.40, 17.30, 17.55 świąt., 18.55, 19.40.

przychodzą:

z Katowic przez Dęblin 5.50.
z Krakowa przez Dęblin 9.05.
z Radomia przez Dęblin 5.50.
ze Lwowa przez Bełżec 14.20.
z Lublina 5.50, 6.06, 6.50, przez Łuków, 14.20 21.50.
z Sarn 8.05.
z Łucka i Zdołbunowa 9.20, 21.50.
z Pińska i Łunińca 6.20, 14.40.
z Białowieży 8.10.
ze Stołbców 6.20.
z Siedlec 6.20, 6.50, 7.45, 8.10, 9.20, 14.10, 17.15, 19.30, 23.20.
z Mińska Maz. 5.25 (w d. rob.), 7.20, (w dni rob.), 11.20 (świąt.), 11.55, 13.15, 18.40, 20.20, 20.55, 21.35 (świąt.), 22.05, 22.50.

DWORZEC GDAŃSKI

odchodzą:

do Grudziądza 14.30, 22.25.
do Chojnic 9.25, 19.45.
do Mławy **0.02**, 9.25, 14.30, 19.45, 21.02, 22.25
do Modlina 6.40, 7.50, 10.30, 12.35, 16.00 17.00, 21.30.
do Otwocka 6.25, 6.50, (w dni rob.), 8.20 (św.), 8.40, 9.45, 10.20 (św.), 11.25, 12.15, 14.20, 15.30, 16.10, 17.10, 18.20, 18.55, 20.00, 21.20, 22.10.
do Sierpca 0.30, 17.55.
do Płońska 7.00.

przychodzą:

z Grudziądza 9.40, 21.00.
z Chojnic 5.30, 16.10.
z Mławy 5.30, **6.53**, 9.40, 9.54, 16.10, 21.00.
z Modlina 6.03 (w dni rob.), 6.43, (w dni rob.), 7.35, 10.53, 14.20, 17.25, 19.20, 21.23, 0.23 (przedświąteczny i świąteczny).
z Otwocka 0.15, (św.), 7.03 (pośw.), 7.17 8.40, 9.00 (w dni rob.), 10.35 (św.), 11.15, 12.10, 12.30 (św.), 14.05, 15.05, 16.55, 18.00, 18.35, 20.30, 20.50, 21.30, 22.20, 23.30.
z Sierpca 9.08.
z Płońska 12.15, 22.53.

DWORZEC WILEŃSKI

odchodzą:

do Wilna 7.35.
do Suwałk 20.50.
do Łomży i Ostrołęki 1.30, 7.00, 16.30.
do Białegostoku 7.35, 16.00, 22.25, 22.50.
do Małkini 0.30, 7.35, 10.25, 16.00, 20.50, 22.25.
do Łochowa 7.50, 9.25, (św.), 14.40, 17.00, 17.30 (św.), 19.00, 19.30 (św.).
do Wołomina 6.45, 9.45, 12.00, 12.35, 14.00, 16.30, 19.45, 20.30, 21.30.

przychodzą:

z Wilna 19.40.
z Suwałk 6.02.
z Łomży i Ostrołęki 7.35, 11.47, 23.13.
z Białegostoku 6.02, 8.22, 12.33, 19.40.
z Małkini 6.02, 7.28, 8.22, 12.33, 16.25, 19.40.
z Łochowa 7.28, 11.16, 13.01 (św.), 16.25, 18.00, 21.13, 21.45 (św.), 22.43 (św.), 23.50.
z Wołomina 8.12, 10.42, 11.16, 14.12, 15.22, 18.37, 19.15, 20.17, 21.00, 22.12, 23.32, 23.50.

ROZKŁAD LOTÓW

LINJE LOTNICZE „LOT"

Odloty: Z Warszawy do Gdańska 15.30, do Lwowa 16.00, do Poznania 17.00, a w okresie Wystawy dodatkowo o 6-ej, do Katowic, Krakowa Brna i Wiednia 7.30. Z Krakowa do Katowic, Brna i Wiednia 6.45.

Przyloty: Z Gdańska 11.30, ze Lwowa 10.45, z Poznania 10.00 i 19.00 z Katowic, Krakowa, Brna i Wiednia 19.50.

Komunikacja codzienna, z wyjątkiem niedziel. Ruch Katowice — Wiedeń 3 razy w tygodniu bezpośrednio i 3 razy z lądowaniem w Brnie.

MIĘDZ. TOW. ŻEGLUGI POW.

Odloty: Z Warszawy do Pragi, Konstantynopola, Bukaresztu, Białogrodu, Sofji, Budapesztu, Wiednia, Norymbergji, Strassburga, i Paryża — 11.45.

Przyloty: z tych okolic — 12.45.

Komunikacja codzienna

Egzotyczne ofiary mody



Szminki, puder, kremy, róże i lakiery — oto groźny arsenał współczesnej pani, która walczy o pierwszeństwo ujarzmienia serc przedstawicieli „płci brzydkiej". Wyrafinowane sztuczki kosmetyczne w połączeniu ze stubarwną tęczą barw kusych sukien, odzierają również nasze babcie z uroku powagi starości, którą jeszcze do niedawna obnosiły z godnością. Powstające jak grzyby po deszczu „Instytuty Piękności" rozwiały tajemniczy urok otaczający paryską Minstinguett'kę, która dźwigając siódmy krzyżyk na swym wymasowanym karku, zwycięża w zawodach o pierwszeństwo czwarte najmłodsze pokolenie swoich koleżanek. „Instytut Piękności" — to nowoczesne sale tortur, którym każda piękna pani poddaje się dobrowolnie, by jaśnieć zawsze urodą — tym magnesem przyciągającym roje wielbicieli. Kobieta jest wszędzie jednakowa, o czem świadczą zabiegi stosowane u Masajów.

Masajowie mierzą piękność kobiety na centymetry. Im dłuższą szyję posiada kobieta, tem jest piękniejsza. W kilka dni po po przyjściu córki na świat, rozpoczynają rodzice zabiegi, w myśl popularnego przysłowia miejscowego: „Jeżeli nie wydłużę szyji, nie będę miała ani męża, ani dzieci". Zabiegi te polegają na zakuciu na szyjce dziecka możliwie największej ilości mosiężnych pierścieni, które ściskając mięśnie nie pozwalają jej się rozwijać wszerz, tylko do góry.

Co roku przybywa jeden pierścień. Każdy z tych pierścieni jest tej samej średnicy, co poprzedni. Pierścienie te zwężają przełyk, utrudniając przyjmowanie normalnego pokarmu, przez co wytwarzają cały szereg nieznanych lekarzom chorób, a mających swoje źródło w organicznych zmianach budowy szyji. Po kilkunastu latach długość szyji dochodzi do 40 cm. wysokości, co jest uważane za ostatni wyraz elegancji no i... urody.

Biedna, torturowana kobieta nie może schylić głowy, normalnie pracować, choruje stale na bóle kiszek i żołądka, cierpliwie znosząc swoją dolę gwoli przypodobania się mężczyźnie. Gdzież tu jednak może być mowa o oparciu główki na ramieniu ukochanego, kiedy pierścienie nie pozwalają na jakiekolwiek poruszenie...

Jeden z misjonarzy opowiadał następującą historję: „Zachorowała młoda dziewczyna Masaja, przyczem trzeba było koniecznie zdjąć bronzowe kajdany, opasujące szyję. Po zdjęciu pierścieni, szyja mająca grubość szyji małego dziecka, nie mogła utrzymać na swych zanikłych muskułach głowy, która opadła na piersi i trzeba ją było podnosić rękoma. Był to prawdziwy obraz kwiatu z podciętą głową".

Próżność kobiet nie zna granic. A szerokość geograficzna decyduje o sposobie jej zaspokojenia...

(g)

Piękności Masajów z afrykańskiego Colorado. (Fot. Starfilm)



„7 DNI" wychodzi co czwartek w Warszawie — Krakowie — Poznaniu — Lwowie i Wilnie

Prenumerata kwartalna: 6.50 złotych, półroczna 12.50 złotych wraz z przesyłką. Adres Redakcji i Administracji: Warszawa, Nowosenatorska 2. Tel. 525-85 i 72-85. Konto P. K. O. 19.447. Przedstawicielstwo na Francję: L. Sładowski, 98 Bd Blanqui, Paris, XIII.

Cena ogłoszeń: zł. 1000 za 1 stronę, zł. 500 za ½ strony, zł. 250 za ¼ strony. W razie podwyższenia nakładu ceny proporcjonalnie wyższe: za podstawę obliczenia służy stawka złotych około 40 za jeden tysiąc nakładu. Drobne za wiersz 1 mm (3 szpaltowy) zł. 1 gr. 50.

Redaktor naczelny: JAN PIOTROWSKI Kierownictwo: BOLESŁAW KARNISZYN Wydawca: BOLESŁAW KARNISZYN i S-ka Sp. z ogr. odp.

Klisze i druk wykonano w Sp. Akc. Zakł. Graf. „Drukarnia Polska", Warszawa, Szpitalna 12. Telef.: 172-06 i 117-98.